ROK VII. LIPIEC — 1907 ROK. TOM II (LXVIII).





DZWONEK Częstochowski

PISMO MIESIĘCZNE

ILLUSTROWANE

POD REDAKCJĄ

KSIĘDZA JÓZEFA ADAMCZYKA

Adres Redakcyi: Częstochowa, pod Jasną-Górą.— Filja w Warszawi ; Ulica Krucza Nr. 40 mieszk. 17.
Filja w Petersburgu, ul. Sadowa Nr 76 m. u p. Witold [illegible]dank-Wojewódzkiego.
1907.

STOWARZYSZENIE **„ZORZA“**

malarzy, rzeźbiarzy, pozłotników, i haftarzy,

pracujących w zakresie sztuki kościelnej

w CZĘSTOCHOWIE

poleca najtaniej, bo z pierwszej ręki, we własnym składzie pod Jasną Górą, przy Administracyi „Dzwonka Częstochowskiego.“



obrazy
feretrony
figury { **Pana Jezusa**, **Matki Boskiej**, **Ś-tych Pańskich** }
sztandary
chorągwie
dzwonki harmonijne
witraże
ornaty
kapy
wszelkie wyroby kościelne



posiada jedyny w Częstochowie obfity wybór **artystycznych obrazów Matki Boskiej Częstochowskiej, ręcznie wykonanych przez artystów Akademii Krakowskiej,** w różnych wielkościach i na różne ceny,

podejmuje się wykonania wszelkich robót, dotyczących

odnawiania i upiększania kościołów

artystycznie, dokładnie i tanio,

przyjmuje zamówienia na **odlewy nowych dzwonów i przelewy starych, oraz posadzkę cementową i terrakotową** po najniższych cenach.

Wszelkie zlecenia Czcigodnego Duchowieństwa i ogółu katolickiego wypełnia się szybko, dokładnie i tanio.

Adres dla listów: ***Stowarzyszenie „ZORZA“ w Częstochowie,*** skrzynka pocztowa № 84.

ROK VII. LIPIEC — 1907 ROK. TOM II (LXVIII).

DZWONEK CZĘSTOCHOWSKI

PISMO MIESIĘCZNE, ILLUSTROWANE

POD REDAKCYĄ

Księdza JÓZEFA ADAMCZYKA



CZĘSTOCHOWA

Adres Redakcyi: Częstochowa, pod Jasną-Górą.

Filja w Warszawie: Ulica Krucza № 40 mieszk.17.

Filja w Petersburgu, ul. Sadowa № 76 m. 5 u p. Witolda Habdank-Wojewódzkiego

1907

Treść tomu lipcowego 1907 roku,

ogólnego zbioru LXVIII.

ILLUSTRACYE:



„DZWONEK CZĘSTOCHOWSKI"

PISMO MIESIĘCZNE ILLUSTROWANE

(12 dużych tomów rocznie).

Pod redakcyą księdza JÓZEFA ADAMCZYKA

Czasy, które przeżywamy, czasy łez, krwi, a przytem obietnic lepszej dla Ojczyzny przyszłości, nigdy może nie potrzebowały większej niż obecnie pomocy Bożej, ratunku z nieba, pomocy stamtąd, skąd szczęśliwość wiekuista spływa w dusze i serca ludzkie. Szukajmyż jej tam...

My, Polacy, szczęśliwsi jesteśmy, niż inne ludy katolickie, bo posiadamy skarb nad skarby — cudowne miejsce — tron ziemski Pani świata — Matki Zbawiciela — Orędowniczki i Pocieszycielki strapionych—Królowej Korony Polskiej—a miejscem tem umiłowanem klasztor na Jasnej-Górze w Częstochowie.

U stóp tego tronu ziemskiego, źródła łask i szczęśliwości ludzkiej, dzwoni od lat sześciu „Dzwonek Częstochowski", jako skowronek nucąc pieśń na chwałę Przenajświętszej. Słuchajmyż głosu jego...

A cud to niemal, że głos jego nie umilkł, choć burze szaleją, biją gromy, złe moce się rozpętały — cud niemal i łaska Boska widoczna, której niegodni doświadczamy.

Bo ileż to razy grom po gromie huczy, uderza, ale piosenka na chwałę Maryi nie milknie, głos „Dzwonka Częstochowskiego", choć przygłuszony na chwilę, znowu dźwięczy i znowu raduje serca wiernych czcicieli Maryi.

A nigdy może wśród sześcioletniego istnienia pisma, głos jego nie był tak wielce pożądany wśród chat i dworków, na poddaszach i w pałacach, jako niosący tam słowa miłości Boga i bliźniego, słowa pociechy i ukojenia. Nigdy, jak dzisiaj...

Stańcie więc przy tym słudze Bogarodzicy wszyscy jej czciciele, otoczcie staraniem, nie dajcie upaść pismu, poświęconemu na chwałę waszej największej Opiekunki, Jedynej Ucieczki w szczęściu i nieszczęściu, jednajcie przyjaciół, rozpowszechniajcie „Dzwonek Częstochowski", a te czyny wasze Bóg na dobro wasze policzy, bo im więcej będzie czytelników „Dzwonka Częstochowskiego" — tem większą chwałą rozbrzmiewać będzie Matka Boska Częstochowska, Królowa Korony Polskiej.

Prawdziwego przyjaciela poznaje się w nieszczęściu — mówi przysłowie — i my, dzięki Najświętszej Pannie Częstochowskiej, przekonaliśmy się, że „Dzwonek Częstochowski“ ma licznych, a serdecznych przyjaciół, którzy w dniach smutnej próby krzepili nas, pocieszali i nie odstąpili. Tym przyjaciołom naszym ślemy serdeczne staropolskie: „Bóg zapłać“! U stóp ołtarza Cudownej Matki Boskiej Częstochowskiej na ich intencyą ofiarujemy modły, prosząc pokornie o łaski Boże dla nich, ich rodzin, aby Matka Najświętsza błogosławiła ich pracy tak na drodze życia doczesnego jak wiecznego.

* *
*

Jedynem naszem pragnieniem jest ulepszać i udoskonalać „Dzwonek Częstochowski“—co nam obecnie wielce ułatwia rozszerzenie koncesyi. Oprócz prac treści religijno-historycznej podawać będziemy i rzeczy treści naukowej i społecznej, jako to: ze świata przyrody, przemysłu, hygieny i t. p.

Premium „Dzwonka Częstochowskiego“ na rok 1907 stanowić będzie piękny kolorowy obraz **Matki Boskiej Kodeńskiej,** który w dniach prób ciężkich znalazł schronienie w murach Jasnogórskiej Świątyni. Będzie ten cudowny wizerunek błogosławieństwem dla każdego domu katolickiego, dla każdego szczerze wierzącego Polaka.

Druk zajmujących powieści historycznych: **„Nawrócony“, „Żona Cezara“** i **„Historya wojen krzyżowych“** z illustracyami G. Dorego w dalszym ciągu na kartach „Dzwonka Częstochowskiego“ prowadzić będziemy.

Nad to prowadzić będziemy wszystkie prace dotychczas drukowane w „Dzwonku Częstochowskim“, a mianowicie:

1) Artykuły treści teologicznej. 2) Powieści religijne. 3) Modlitwy prozą i wierszem. 4) Żywoty Świętych Pańskich, Ojców Kościoła, wielkich Papieży. 5) Obrazy z historyi Kościoła Rzymsko-Katolickiego. 6) Wiadomości różne tak z dziedziny życia społecznego, politycznego jak naukowego z obszernem uwzględnieniem spraw kościelno religijnych i tyczących się Częstochowy. 7) Ogłoszenia. 8) Illustracye.

W roku 1907 „Dzwonek Częstochowski“ drukować będzie zajmujące opowieści, ozdobione illustracyami:

Polacy Katolicy na obczyźnie.

Będą to wzruszające opisy prac i cierpień kolonistów polskich tak w bliższych nam krainach, jako też i zamorskich.

W dalszym ciągu drukować będziemy cenne prace:

1) Żywot illustrowany Pana naszego Jezusa Chrystusa.

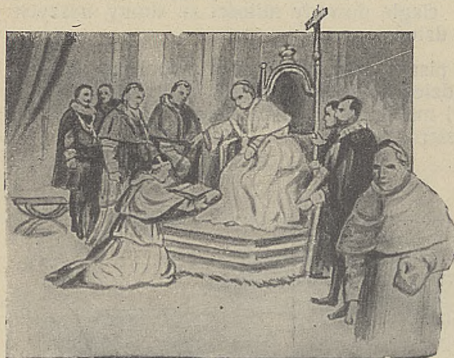
2) Historyę illustrowaną Kościoła Rzymsko-Katolickiego w obrazach i życiorysach.

3) Historyę illustrowaną klasztoru Jasnogórskiego.

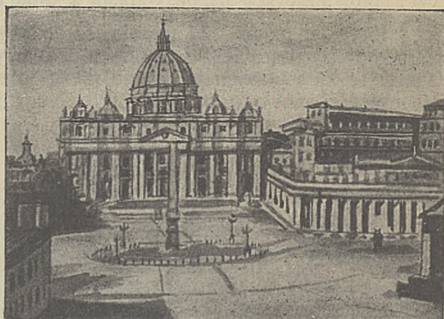
4) Drogą Świętych Męczenników wśród pogan.

Oprócz tego przygotowaliśmy nowe zajmujące prace, jako to: „Pamiętniki kapłana wygnańca", „Krzyż wśród lodów północy", „Wyznania nawróconej" i t. d.

Wszystko co dobre i zacne, a głównie co polskie i katolickie, znajdzie na kartach „Dzwonka Częstochowskiego" uznanie serdeczne.



Ojciec Święty Leon XIII błogosławi wydawnictwo **„Dzwonka Częstochowskiego".**



Kościół **Świętego Piotra** w Rzymie.

Błogosławieństwa „Dzwonkowi Częstochowskiemu" udzielił i obecnie zasiadający na stolicy Piotrowej Ojciec Święty Pius X.

Nie możemy się też powstrzymać, aby nie przytoczyć tutaj wielce łaskawego dla nas listu Jego Ekselencyi księdza Stanisława Zdzitowieckiego, biskupa Kujawsko-Kaliskiego, z którego dyecezyi „Dzwonek Częstochowski" w świat wychodzi.



Jego Ekselencja Ksiądz Stanisław Kazimierz Zdzitowiecki biskup Kujawsko-Kaliski.

Szanowny Księże Redaktorze!

Każdemu wiadomo, jak wielką jest potrzeba pism peryodycznych, któreby dawała duchową i społeczną strawę. Zasady bowiem i poglądy w pismach zawarte powoli wsiąkają w umysły i urabiają serca czytelników. To też uznanie Ci się należy, Szanowny Księże Redaktorze, za zbożną Twą pracę w „Dzwonku Częstochowskim", za rozsiewanie zdrowego ziarna na roli rodzin chrześcijańskich, dla których na wzór i obronę podajesz Najświętszą Bogarodzicę Maryę. Że praca Twa była potrzebna, świadczy poczytność "Dzwonka Częstochowskiego".

Kształć więc umysły i urabiaj serca ufny w łaskę Bożą, opiekę Maryi i pomoc współpracowników, których wyszukiwać z pewnością nie potrzebujesz.

Zapewniając o swej dla „Dzwonka Częstochowskiego" życzliwości, zasyłam pasterskie błogosławieństwo Tobie, Szanowny Księże Redaktorze, Współpracownikom i Czytelnikom.

(podpisano) Ks. Stanisław Zdzitowiecki
Biskup Kujawsko-Kaliski.

Włocławek, d. 2 Lutego 1903 r.

Kongres ku czci Maryi, Matki Zbawiciela Świata, odbyty we Fryburgu, gdzie zgromadzili się dostojnicy Kościoła z całego świata katolickiego, przyznał redakcyi „Dzwonka Częstochowskiego“ wysokie odznaczenie, t. j. medal złoty z wizerunkiem Niepokalanej Panienki.

O ile te tak zaszczytne odznaczenia skromnem i wdzięcznem przyjęliśmy sercem, o tyle nie mniejszą radością przejmują nas ciągłe dowody miłości ze strony naszych Czytelników, których liczba wzrasta z dnia na dzień.

Listy te, najczęściej twardą, spracowaną pisane ręką, są dla nas najmilszą zapłatą za trudy i najmilszą lekturą. Jak u źródła w dzień skwarny, tak można orzeźwić ducha, czytając te korespondencye, pełne niezgłębionej miłości Bożej i bliźniego, hartu i męstwa iście chrześcijańskiego, wiary i ufności w miłosierdzie Boże.



Cinquantenario del dogma dell'Immacolata Anno MCMIV
Comitato Centrale (Roma) Circolo Immacolata
Via Torre Argentina 76

Rzym d. 5 Grudnia 1904 r.

CONGRESSO MARIANO MONDIALE

G. GROSSO

Do Szanownej Redakcyi „Dzwonka Częstochowskiego“

Kongres wszechświatowy ku czci Niepokalanej Matki Bożej w Rzymie odbył się z niezwykłą okazałością. Brało w nim udział kilkunastu Kardynałów, parę set biskupów i niezliczona ilość uczonych z całego świata. Mowy były prawie we wszystkich językach wygłaszane ku czci Matki Bożej. O Dzwonku Częstochowskim przemawiał Kanonik Żółtky w kościele Matki Boskiej Śnieżnej, Ksiądz Głowiecki w Sekcyi prassy, zasypywany przez Księży z Polski i czcicieli Maryi tysiącami oklasków. Jego Excellencya Ksiądz Arcybiskup Szymon i inni bawiący tu biskupi polscy z wielkiem uznaniem wyrażali się o Dzwonku jako wydawnictwie poświęconem czci Maryi. Największem w naszym kraju.
Uczestnik Kongresu w Rzymie Ksiądz Kazimierz Grabowski.

Prenumerata „Dzwonka Częstochowskiego“ wynosi: w Częstochowie rocznie rub. 3, półrocznie rub. 1.50, kwartalnie kop. 75. Z przesyłką pocztową rub. 4, półrocznie rub. 2, kwartalnie rub. 1. W Austryi: rocznie koron 10, półrocznie koron 5. — W Niemczech: rocznie marek 9, półrocznie marek 5. Cena ogłoszeń: Na całéj stronicy rub. 12, na połowie stronicy rub. 8, na czwartej części stronicy rub. 5 i za wiersz 75 kop.

Prenumeratorzy miejscowi za odnoszenie pisma do domu dopłacają 10 kop. kwartalnie.

Listy należy adresować:

Redakcya „Dzwonka Częstochowskiego“ pod Jasną-Górą

w Częstochowie.

Redaktor i Wydawca: **Ksiądz Józef Adamczyk.**

TOW. ORGELBRANDA S-ÓW WARSZAWA.



Obraz cudowny Matki Boskiej Kodeńskiej.

Historya cudownego obrazu Matki Boskiej Kodeńskiej.

Na pograniczu Podlasia, w województwie brzesko-litewskiem, w początku XVI wieku powstało miasteczko Kodeń. Położone jest w południowej stronie od Brześcia, w pięknej okolicy nad Bugiem, otoczone z jednej strony równinami żyznych i urodzajnych pól, z drugiej—pięknemi łąkami, pastwiskami, lasami i zaroślami. Pozycya miasteczka i jego okolicy cokolwiek wzniesiona nad ogólny poziom, jakby już z natury została wybraną na siedzibę dla spokojnych i pracowitych mieszkańców.

To też miasteczko w tem położeniu, przytulone do lewej strony Buga, pod ojcowską opieką swoich panów, a osłoną monarszych łask i przywilejów, rosło w dobrobyt, było dość schludne i zamożne.

Tu litewscy książęta ze krwi Witenesa i Narymunda, obrali sobie miłą siedzibę, zbudowali zamek i założyli nowe gniazdo kodeńskich Sapiehów. Panowie ci, gorliwi w chwale Bożej, wznieśli i uposażyli tu kilka kościołów, oraz wspaniałą i sławną na okolicę świątynię, na podobieństwo watykańskiej świętego Piotra, dla pomieszczenia w niej cudownego i starożytnego obrazu Matki Boskiej Gwadalupeńskiej, a w podziemiach tej świątyni przygotowali swoje rodzinne groby.

Pod możną opieką Sapiehów, Kodeń stał się niezdobytą twierdzą wiary świętej przeciwko herezyi kalwińskiej, szerzącej się w około, a zwłaszcza naciskającej z blizka od Brześcia i Biały przez potężne wpływy Radziwiłłów. Sapiechowie kodeńscy z ludem swoim nie ulękli się przewagi heretyckich wodzów, ani pozwolili się otumanić ich ponętnemi dla płytkich głów i swobody umysłów nowinkami.

Kodeń był także silną tarczą przeciwko zatwardziałemu odszczepieństwu greckiego kościoła, który nie uznając aktu świętej Unii z kościołem rzymskim, zawartej na synodzie brzeskim, rzucał się tu i ow-

dzie bezsilnie, pragnąc ten węzeł zjednoczenia rozerwać. Zwracał się też ku Moskwie, Kozakom i Tatarom, aby nawołać ich do wspólnej walki z Polską i Kościołem. Jan Sapieha, praojciec linii książąt kodeńskich, wyrzekłszy się odszczepieństwa i przyjąwszy w Rzymie Unię świętą z Kościołem, był gorliwym wyznawcą katolickim. Jego następcy złożyli dowody jeszcze większe ścisłego połączenia się z Kościołem. Wreszcie prawnuk Jana, Mikołaj Sapieha, przyjmując obrządek łaciński, bierze Komunię świętą z rąk Papieża Urbana VIII i od tego czasu Sapiehowie są już gorliwymi łacinnikami.

Nic dziwnego, że Kodeń był miastem arcykatolickiem, perłą w dyecezyi łucko-brzeskiej, gdyż posiadał kilka kościołów, a w nich wielką ilość relikwij świętych; przedewszystkiem zaś posiadał cudowny obraz Matki Boskiej Gwadalupeńskiej, świątynię podniesioną do godności infułacyi, a przytem miał wielu kapłanów światłych i gorliwych, stojących na straży wiary i czystości obyczajów. Biskupi posyłali tam na pasterzy kapłanów wysoko odznaczonych w hierarchii kościoła. Unia święta dwóch katolickich obrządków swobodnie się tu krzewiła. W obrębie kodeńskiej niewielkiej łacińskiej parafii, powstało w kilku wiekach aż pięć parafij unickich, połączonych z łacińskim Kodniem węzłami wiary i miłości bratniej, a duchowieństwo unickie, mając wzór światła i pobożności w miejscowem łacińskiem duchowieństwie, odznaczającem się gorliwością i poświęceniem dla wiernych swoich, usiłowało je naśladować we wszystkiem i zbliżało się doń duchem i życiem swojem. Stąd zawsze tu panowała wzorowa łączność i przyjaźń kapłanów łacińskich i unickich, jak w pożyciu towarzyskiem tak w pracy kościelnej.

A gdy ta unia kapłanów jawnym i widocznym była wszędzie przykładem, więc też i lud unicki z łacińskim łączył się w jednym uścisku braterstwa.

Ze zmianą bytu politycznego kraju kościół katolicki i bezbronna Unia znalazły się w smutnem bardzo położeniu. W roku 1838, gdy po drugiej stronie Buga Niebo na skroń prawowiernego ludu unickiego włożyło koronę męczeńską, po tej stronie Buga, a zwłaszcza w przybużnej okolicy Kodnia, węzły miłości bratniej duchowieństwa i ludu obojga obrządków jeszcze się bardziej zacieśniły. A chociaż kapłanów łacińskich było tu wówczas już bardzo niewielu i wpływ duchowieństwa łacińskiego na tutejszych unitów był bardzo ograniczony, ci jednak, jakby przeczuwając powtórzenie się niezadługo i wśród nich strasznych scen zabużnych, jeszcze bardziej tulili się do łona matki swojej Rzymsko-katolickiego Kościoła i jej świętych obrzędów.

Wreszcie gdy nadszedł rok 1874 i jak lawa wulkanu spadło prześladowanie na kościół tutejszy i Unię świętą i na jej zagładę, Bazylika Kodeńska została wówczas zabraną na cerkiew prawosławną. Cudowny

i starożytny obraz Matki Boskiej Gwadalupeńskiej z Kodnia, gdzie od wieków przemieszkiwał, w zwyczajną pakę drewnianą schowany, odesłany został do Częstochowy.

Miasteczko Kodeń nazwę swoją z dawnej tradycyi tak wywodzi. Pewien książę litewski czy też wódz tego narodu przybył tu raz z wojskiem pod wieczór i stanął w niedalekiej od nieprzyjaciela odległości. Rozłożył swój obóz, gotując się do walki, a może też organizując napad na te bezbronne przybużne strony. Udając się na spoczynek, rozkazał jednemu ze swych dworzan, aby go nazajutrz o świcie, bez żadnej ceremonii obudził. Żołnierz, Rusin, gdy dnieć poczęło, wszedł śmiało do namiotu księcia i nad uchem twardo śpiącego wodza zawołał głośno: ,,To deń!" czyli już dzień.

Wódz, zerwawszy się coprędzej, uszykował wojsko, niespodziewanie napadł nieprzyjaciela i odniósł nad nim zwycięstwo. Na pamiątkę tego zdarzenia, okolica i miejsce to, na którem ów książę i wojsko jego nocowało, zostało nazwane *Todeń*, z czasem zamienione na *Kodeń*.

Jan Fryderyk Sapieha pisze, że w starych mapach geograficznych tę okolicę nazywano raz Todeń, to znowu Kodeń, a owym szczęśliwym wodzem miał być Mendog, pierwszy i ostatni król Litwy. Zatem nazwa Kodnia, nadana tym stronom, przypadałaby na ową smutną dobę jadźwingowskich napadów na polskie ziemie, którzy chociaż rozbici przez Bolesława Wstydliwego, połączyli resztki swojej narodowości z wiarołomnym odstępcą pogańskim, księciem Mendogiem.

Na miejscu dzisiejszego Kodnia, były niegdyś kolonie 4-ch braci Roszczyców. Michał i Anastazy Roszczyccy byli rodzonymi braćmi, a obok nich figurują również imiona Charzko i Ofanes Roszczyccy i ci byli zapewne stryjecznymi braćmi tamtych. Ród Sapiehów, późniejszych panów na tem miejscu, nazwę swoją miał przyjąć od ruskiego słowa *sopieť* — sapać. Było to przezwisko dane przez Rusinów otyłemu protoplaście tego domu. Jan zaś Sapieha pisze, że gdy naddziadowie jego, będąc poganami, nie chcieli przyjąć schizmy greckiej, szerzącej się wówczas na Litwie i wyśmiewali takową, nazwani byli przez Rusinów greckiem imieniem *sophia*, co miało znaczyć u nich w tym razie pogardliwie: mędrek, mądral, poganin uparty, który do ich wiary należeć nie chce. W każdym razie czy od wyrazu ruskiego *sopieť*, czy od polskiego sapać, czy też wreszcie od greckiego wyrazu *sophia* nazywać się poczęli ci książęta: Sopeha, Sopiha, a w końcu Sapiha i Sapieha, jakby już nazwisko spolszczone.

Protoplastą Sapiehów miał być Witenes i syn jego Gedymin, książęta litewscy. Dalej idzie Nurymund, stryj Jagiełły, najmłodszy syn Gedymina, książę Piński i Mozyrski, i dwaj jego synowie: Jerzy Narymundowicz, książę bełzki i Punigajło, nazwany właśnie Sophia. Ten

właśnie Punigajło rozpoczął gałąź domu Sapiehów. Syn Punigajły Sunigajło, czyli Symeon był kasztelanem trockim i pierwszym chrześcijaninem w rodzie swoim dyzunitą. Jan Sapieha, syn Sunigajły Symeona, urodzony 1431 r. od dzieciństwa wychowywał się w dyzunii, lecz gdy w młodym wieku wzięty był na dwór króla polskiego Kazimierza Jagiellończyka zamiłował obrządek katolicki.

Wielkie miał łaski u króla Jana Albrechta i następcy jego Aleksandra, bo do domu królewskiego przywiązał się Jan całem sercem. Gdy za króla Zygmunta I kniaź Michał Gliński uknuł zdradę przeciwko królowi, Jan Sapieha wykrył zamiary zbrodnicze i zapobiegł niecnym zamiarom kniazia. Jan upodobał sobie szczególnie kodeńskie strony, tu na starość osiąść zapragnął. Był 7 razy posłem do Moskwy, a raz posłował do Rzymu, gdzie dobrowolnie wyrzekł się schizmy i uczyniwszy wyznanie wiary katolickiej, przystąpił do Unii świętej z kościołem. Jan Fryderyk Sapieha w dziele swojem wyraża się obrazowo o tym chwalebnym czynie protoplasty swojego, że Jan Sapieha schizmatyckiej zaciekłości błędy, jako twardy i ogromny kamień zrzucił z siebie do głębi Tybru, a z Głową widzialną Kościoła, łącząc się wyznaniem wiary świętej, jakby z tyberyjskich nurtów nieoszacowaną ułowił perłę jedności katolickiej.

Od tego czasu rozszerzał gorliwie wśród ludu swego Unię świętą, a pracę jego wspierała przezacna i świętobliwa małżonka jego Anna Chodkiewiczówna, starościanka grodzieńska i potem trzecia żona tegoż wojewody Elżbieta Korczewska, kasztelanka podolska.

Jan Sapieha kupił od wspomnianych wyżej braci Roszczyckich ich kolonie i młyny, a od innych sąsiednich właścicieli 24 wioski, otaczające Kodeń i uzyskawszy u króla Zygmunta przywilej 1511 r. na sejmie w Brześciu, osadę przybużną kodeńską podniósł do rzędu miasta i nadał mu prawa magdeburskie.

Po założeniu miasta i obdarzeniu go przywilejami, nadany też został miastu herb: Anioła stojącego z mieczem.

Jan Sapieha, chociaż wywodzący ród swój od książąt litewskich, szanując zasadę równości Rzeczypospolitej, nie używał książęcego tytułu, czego też i następcy jego przez dwa wieki przeszło, wiernie przestrzegali.

W życiu swojem Jan Sapieha nadzwyczaj czynny, był w ciągłych posługach dla króla i kraju. Chociaż już był starcem 80-letnim, jednak w wojnie z Moskwą 1514 r., dowodząc wojskiem, w którem miał i swoich własnych rycerzy, łącznie z rodzonym bratem swoim Bohdanem, wygrał siedm bitw walnych, czem dowiódł, że nietylko dyplomatą, lecz i zdolnym hetmanem wojska być potrafił. W wolnych chwilach od służby kraju przesiadywał w Boćkach i tam ufundował łaciński para-

fialny kościół, gdzie też pochowany został — ale i okolice Kodnia były mu także miłe. Tu wybudował on pałac, zamkiem zwany, otoczywszy go wałem i murem dokoła. Zamek ten oblewa z jednej strony Bug, a z drugiej jezioro, przez które przepływa rzeczka. Od miasta zamek oddzielony rzeczką i zwodzonym mostem, rzuconym na niej, miał wygląd obronnego zamku, zwłaszcza gdy w czasie uroczystości, dla dania salwy, z arsenału na wały wytoczył działa i moździerze. Dziś zamek ten chociaż w górnej części przedstawia ruinę, dotąd jeszcze istnieje, lecz wchód na górę zamknięty i okna zabite deskami. Od połowy zeszłego wieku zamek ten już nie był rezydencyą Sapiehów, a sławna w owym czasie Elżbieta z Branickich księżna Sapieżyna, wojewodzina mścisławska, mieszkała w tak zwanej Placencyi, zbudowanej na przedmieściu Kodnia.

Jan Sapieha zasługą i przywiązaniem do króla tak ujął serce Zygmunta, że ten do Kodnia przyjechał i przez kilka dni z dworem swoim gościł u niego. Odwiedził także król Zygmunt I jeszcze raz starego Jana Sapiehę w Rożanie, majętności Sapiehów. Jan Sapieha był trzy razy żonaty. Z ostatnią Elżbietą Korczewską, kasztelanką podlaską miał córkę Katarzynę. Była to wielkiej świętobliwości dziewica i wstąpiła do zakonu Bazylianek. Po ufundowaniu parafialnego kościoła w Boćkach, na Podlasiu, Jan Sapieha około r. 1518, to jest na rok przed swoją śmiercią, ufundował kościół parafialny łaciński w Kodniu, pod wezwaniem Ducha świętego. Opatrzył ten kościół funduszem na utrzymanie kapłana, pięknemi i kosztownemi aparatami i zamyślał jeszcze więcej uczynić, ale w bardzo podeszłym wieku, śmierć mu przerwała dalsze plany. Umarł w Boćkach 1519 r., w 89 roku życia, na łonie Kościoła katolickiego, opatrzony świętemi Sakramentami. Jako pełen lat i zasług w kraju i Kościele, słusznie przez potomnych swoich nazwany został *Magnus*, to jest Wielki Sapieha.

Gdy łaciński kościół stanął w Kodniu z fundacyi Sapiehy, w owym czasie mieszczanie rusińscy, potrzebując również cerkwi dla siebie, wystąpili z prośbą do Sapiehy o pozwolenie i pomoc do wzniesienia im cerkwi w mieście. Sapieha zgodził się na prośbę mieszczan, i pozwolił im wybudować cerkiew pod wezwaniem świętego Michała. Z powyższego jest jasnem, że parafialna cerkiew świętego Michała wzniesioną została w Kodniu przez mieszczan później, gdy już stał parafialny kościół świętego Ducha, że pomiędzy rusińskimi mieszczanami i wieśniakami kodeńskich posiadłości, liczba parafian łacińskich była znaczna i że Sapiehowie kodeńscy, zostawszy katolikami, po przyjęciu Unii świętej z Kościołem, łacinnikom sprzyjali, a rusinom o tyle, o ile ci okazywali dążności szczere do zespolenia się z Kościołem rzymsko-katolickim w jedności wiary.

Po Janie, wojewodzie podlaskim, objął dziedzictwo i rządy majętności kodeńskiej Paweł Sapieha, wojewoda nowogrodzki, nestorem zwany, dla długiego swojego życia. Rozpoczął rządy swoje w Kodniu od chwały Bożej. Roku 1530 położył fundamenta murowanej zamkowej cerkwi grecko-katolickiej, pod wezwaniem Ducha świętego. Tak więc w Kodniu stanęły dwa Domy Boże pod jednem wezwaniem świętego Ducha: kościół katolicki i katolicko-unicka cerkiew, a nad temi świątyniami jeden Duch Boży, Duch świętej jedności, miłości i jednej wiary rozpostarł swoje błogosławieństwo i łaskę dla wiernego ludu. Jest to niezbity dowód, że Paweł Sapieha i jego dworzanie rusini, dla których wzniósł tę świątynię, byli wiernymi synami Kościoła rzymskiego. Dzisiejsi Rosyanie nadają tej cerkwi tytuł świętego Mikołaja i pisarze polscy nie znając tytułu właściwego tej Sapieżyńskiej cerkwi, albo go przemilczają jak Baliński, albo jak autorowie w Encyklopedyi i Słowniku geograficznym nadają tej cerkwi tytuł świętego Mikołaja.

Strukturę tej świątyni można nazwać mieszaniną stylu gotyckiego i bizantyjskiego, które połączone harmonijnie wspierają się i uzupełniają nawzajem. Połączenie w jedną całość dwóch tych stylów, gotyckiego i bizantyńskiego, jest wyrazem połączenia dwóch cywilizacyj, dwóch religijnych obrządków, wschodniego i zachodniego. Własnością tej świątyni był pomiędzy innemi duży dzwon sprawiony przez Pawła Sapiehę, wagi około 3,000 funtów, zawieszony na frontowej wieży. Gdy w czasie najazdu i plądrowania nieprzyjaciół po kraju, dzwon ten został przez nich rozbity, Kazimierz Władysław Sapieha, starosta brzeski i wojewoda trocki r. 1865 kazał go przelać i w tem samem miejscu zawiesić.

Paweł Sapieha powiększył fundusze plebanii kodeńskiej świętego Ducha, aktem spisanym w Wisznicach 7 listopada 1578 r., w którym powiedziano, że pragnąc, aby chwała Boga Najwyższego mnożyła się przez pozyskanie Bogu dusz ludzkich, kościół świętego Ducha na ulicy Kościelnej, przez ojca Jana Sapiechę zbudowany, aparatami kościelnymi nadany i uposażony na utrzymanie proboszcza, tę fundacyę umacnia i jeszcze powiększa dobrami, z którychby pleban, wikary, mistrz i kantor mieli słuszne utrzymanie. Pomiędzy obowiązkami, jakie wkłada fundator na plebana, a mianowicie, aby nabożeństwa, które kościół rzymsko-katolicki obchodzi były odprawiane i Sakramenta święte wszystkim udzielane pod najściślejszym obowiązkiem sumienia, jest jeszcze jeden ważny, to jest, aby pleban doglądał nauki dzieci w szkole założonej przy kościele przez tegoż fundatora.

Z osnowy tego zapisu okazuje się, jak wielką czcią otaczali wówczas kapłanów polskich panowie, nawet greko-unici, jak szczodrą ręką opatrywali potrzeby ich i kościołów, dbali o oświatę ludu i z całą ufno-

ścią powierzali wychowanie i naukę młodych pokoleń, kapłanom łacińskim.

Po Pawle, dziedzicem na Kodniu został Mikołaj Sapieha, syn jego starszy, urodzony z Anny, księżniczki holszańskiej, pierwszej żony Pawła. Za radą żony swojej Anny, księżniczki Wiśniowieckiej, wzniósł w Kodniu w pośrodku miasta drugi kościół drewniany, pod wezwaniem świętej Anny, a księżna umierając, zapisała 1,000 złotych polskich na ten kościół, w którym pragnęła spocząć po śmierci, z warunkiem, aby codziennie przed ołtarzem Matki Boskiej śpiewany był różaniec. Tenże Mikołaj Sapieha przeprowadził z Boćków ciała wojewodów: zmarłego dziada swojego Jana Sapiehy i ojca Pawła, umieścił takowe czasowo w kaplicy zamkowej, następnie pogrzebał je w podziemiach kościoła świętej Anny obok zmarłej żony swojej i przy tych drogich szczątkach sam też w r. 1610 podług woli swojej pochowany został.

Pierwszy syn tegoż Mikołaja, wojewody witebskiego i Anny, księżniczki Wiśniowieckiej, imieniem także Mikołaj Sapieha został panem na Kodniu, który dostał mu się przy ogólnym podziale fortuny. Był to pan światły i wielce pobożny, dla tego też nazwany u współczesnych Pius. W młodym wieku uczęszczał na Akademię Krakowską, gotując się do korzystnej podróży w obce kraje. Po powrocie do kraju przebywał jakiś czas na dworze Zygmunta III, króla, zasłużył u niego na wysokie względy i szacunek. Został naprzód starostą modczańskim i zyzmowskim, potem chorążym Wielkiego Kięstwa Litewskiego, dalej marszałkiem nadwornym W. Ks. Litewskiego — następnie wojewodą mińskim, potem brzeskim, a w końcu kasztelanem wileńskim i prezesem najwyższego trybunału litewskiego. Siły kraju wspierał pułkami wojska swojego, które utrzymywał ciągle własnym kosztem pod dwiema chorągwiami. Mikołaj brał czynny udział w wojnach tatarskich, kozackich, szwedzkich, moskiewskich i wszędzie składał dowody waleczności i wytrwałości, za co mu król Zygmunt w listach swoich serdeczną wdzięczność wyraża.

Tę troskliwość o dobro ojczyzny równoważyło poświęcenie się i troska o dobro Kościoła, o pomnożenie chwały Bożej, czego wiekopomne, zwłaszcza w Kodniu, złożył pamiątki i dowody. Zatwierdził też fundusze dla świaszczennika zamkowej cerkwi, wyznaczone przez swoich poprzedników w gruntach i dziesięcinie. A chociaż Sapieha z żoną swoją, gdy mieszkał w Kodniu, uczęszczał więcej do łacińskiego kościoła, zwłaszcza na sumę i kazania, to jednakowoż przestrzegał, aby w jego zamkowej kaplicy, a także i w parafialnej cerkwi świętego Michała, zachowywano porządek słowiańsko-unicki, modlono się za Papieża i króla polskiego, i kazania prawiono w duchu jedności z kościołem rzymskim.

To też nie prawdą jest, czego uczą różne przygodne podręczniki historyi, że Sapiehowie kodeńscy byli prawosławni i pracowali dla dyzunii.

Tenże Sapieha z zezwolenia biskupa łuckiego, do kościoła świętej Anny, zbudowanego w rynku miasta przez jego rodziców, przeniósł parafię i dla dwóch kapłanów wzniósł nową plebanię, kościół zaś świętego Ducha, który był przedtem parafialnym, zamienił na tak zwany szpitalny, pod zarządem oddzielnego księdza rektora, a przy tym kościele zapisem w Warszawie 31 października 1628 r. ufundował szpital na 12 biednych. Na utrzymanie tych kalek i biednych przeznacza z dóbr swoich ofiarę roczną 6 beczek żyta i 6 beczek słodu (jęczmienia). Nadto ze wszystkich włók na Kodniu i ze wsi Rzeczyce, Zabłocie, Zdanówka, Kopytów, Dobratycze, Kołpin, Zbanin przeznacza po pół szanka żyta miary kodeńskiej urzędowej i pół szanka jęczmienia, owsa, grochu i to powinno być corocznie składane na ręce plebana do podziału między biednych. Oprócz tego Mikołaj Sapieha zapisał 100 złotych polskich i procent 8 przeznaczył dla ubogich, oraz wolne mlewo we wszystkich młynach w okolicy i wolność warzenia piwa w browarach pańskich, przeznacza na rzecz ubogich szpitala.

Pleban zarządzał szpitalem, pomiędzy biednych rozdzielał uzbierane miarki, często zmuszony był prowadzić zatargi z oficyalistami i wioskami, które opóźniały się z daniną zboża, lub wręcz odmawiały takowej, aż wreszcie obowiązek ten egzekwowania ofiary i rozdziału zboża, za zgodą fundatora, oddał miastu. Miasto wybierało dwóch delegatów swoich, którym pleban powierzał obowiązek wybierania zsypanej daniny i rozdziału takowej dla biednych. Delegaci składali plebanowi rachunki z dopełnionej czynności, otrzymywali jego pokwitowanie i składali takowe magistratowi. Po roku ci sami byli wybierani lub inni, stosownie do woli plebana lub magistratu. Istniały już w Kodniu dwa kościoły łacińskie.

Przy kościele ś-tej Anny była parafia i rezydencya dwóch kapłanów, przy drugim świętego Ducha, zamienionym na kościół szpitalny, pracował jeden kapłan na straży szpitala dla biednych, zależny od miejscowego plebana. Kościół świętej Anny uposażony został w drogie sprzęty kościelne, piękne aparaty i kościelną bieliznę; to wszystko posiadał od wieku przeszło i kościół świętego ducha.

Najbardziej katoliccy panowie i gorliwi, oraz ich następcy, po takich ofiarach i zapisach, mogliby długi czas nie troszczyć się o potrzeby kościołów swoich, lecz Sapiehowie czują w duszy swojej potrzebę jeszcze nowych ofiar, gdyż im się zdaje, że dla Boga i Kościoła niewiele uczynili. W tym celu 1629 r. Mikołaj i Anna Woynianka Sapiehowie zakładają w Kodniu, niedaleko od kościoła świętej Anny, funda-

menta przyszłej murowanej świątyni i ta podług ich ślubu musi być wspaniałą i w przybliżeniu chociaż małem, przypominającą bazylikę świętego Piotra w Rzymie, tę matkę wszystkich katolickich świątyń po całym świecie, u której łona, Sapiehowie znaleźli źródło żywej wiary i miłości i jedności katolickiej.

Lecz Mikołaj Sapieha był wówczas mocno cierpiący, a do tego tak rozstrojony nerwowo, że na siłach zupełnie upadał. Gdy rady i lekarstwa nie przynosiły mu żadnej ulgi i cierpienia się zwiększały, postanowił w swej chorobie uciec się raczej do Bożej, niż do ludzkiej pomocy. Więc uczynił ślub odbyć pielgrzymkę do Rzymu, aby przy opoce Piotrowej, tej potędze ducha i źródle wiary chrześcijańskiej, z błogosławieństwem Namiestnika Chrystusowego, otrzymać łaskę pokrzepienia moralnego w znoszeniu ciężkiej niemocy, a może i łaskę fizycznego uzdrowienia.

Uzyskawszy pozwolenie króla i listy polecające go, Mikołaj Sapieha wyjechał z żoną swoją Anną naprzód do Wiednia. Zmęczony podróżą, zatrzymać się tam musiał na dni kilka, aby odpocząć i złożyć czołobitność swoją Ferdynandowi II, cesarzowi, jako dawny znajomy i rycerz jego, od którego też mianowany został kawalerem orderu Złotego Klucza. Radzono mu wstąpić do Padwy, aby zasięgnął rady najsławniejszych podówczas lekarzy padewskich, ale Sapieha, nie mając zaufania do łacińskiej kuchni, jak się wyraził, postanowił naprzód udać się do Rzymu, a potem dopiero odwiedzić Padwę. Przybywszy do Rzymu naprzód złożył cześć swoją Urbanowi VIII, papieżowi, z polecającem go pismem króla Zygmunta. Urban papież znał dobrze rodzinę Sapiehów i ich przywiązanie do stolicy Apostolskiej, z czasów jeszcze poprzedzających jego wyniesienie na papiestwo, więc rad był i wielce łaskaw dla gościa i pielgrzyma pobożnego z Polski.

Po załatwieniu spraw duszy i zwiedzeniu miejsc świętych w Rzymie, czując się cudownie wyleczonym i zdrowym zupełnie, na pożegnalnej audyencyi u Ojca Świętego prosił Sapieha o podarowanie mu świętych relikwii do wznoszonej przez niego świątyni kodeńskiej. Urban VIII pochwalił jego gorliwość i nietylko obdarzył go licznemi relikwiami świętych, lecz obiecał mu jeszcze nazajutrz udzielić Komunię świętą i apostolskie błogosławieństwo na drogę. W czasie tej mszy świętej, celebrowanej w watykańskiem oratoryum przez papieża, Mikołaj Sapieha kruszył się ze łzami i gorąco modlił, a jego ducha pobożnego napełniał świętą radością i zachwytem religijnym widok obrazu Matki Boskiej Cudownej, zwanej Gregoryańską lub Gwadalupeńską, w ołtarzu, przed którym kapłan najwyższy na ziemi odprawiał Mszę świętą.

Mikołaj Sapieha, jak pisze potomek jego, przyjął z największą pobożnością Najświętszy Sakrament i w końcu błogosławieństwo papie-

skie, z miłem pożegnaniem, ale stał się naraz ciężkim, jakby bardziej jeszcze chorym, aniżeli przedtem i jakby ciężar ołowiu do nóg jego i serca przylgnął. Tysiące myśli, jedne drugim przeciwne, miotać jego biedną duszą poczęły; nareszcie zdecydował się, albo najpokorniej i najusilniej prosić Ojca Świętego o podarowanie mu tego cudownego obrazu, albo też samemu go wykraść, przy pomocy jedynego, krzątającego się po tej papieskiej kaplicy, człowieka, o którym sądził z powierzchowności, że może da się złotem przekupić.

Ale darować ten starożytny obraz, przez wzgląd na miasto Rzym i tyle cudów tu na miejscu dokonanych za orędownictwem tej Matki Boskiej Gregoryańskiej, Ojciec Święty nigdy się nie zgodzi i Rzymianie prośbami go otoczą, aby takiego odwiecznego skarbu, nie pozbywał się ze swojej kaplicy.

Więc Sapieha, nie próbując tego środka, jaki uważał za bezskuteczny, postanowił sposobem pobożnej kradzieży zawładnąć obrazem.

W oczach zakrystyana Sapieha był wielkim panem, nawet przyjacielem samego papieża, człowiekiem nabożnym, któremu Ojciec Święty kazał już tyle relikwii świętych dla jego kościoła przygotować do drogi, zaszczycił go swoją łaską i szczególnemi względami. Sapieha też rozumiał dobrze, co o nim myśli ten sługa papieski, postanowił więc gorączkowo i natychmiast tego jedynego człowieka wyzyskać dla swoich celów, a bez którego pomocy niczegoby nie dopiął.

(D. c. n.)











Czterej Ewangeliści: Święty Mateusz, Święty Marek, Święty Łukasz i Święty Jan.



ŻYWOT ZBAWICIELA ŚWIATA

Pana Naszego Jezusa Chrystusa.

Stało się, gdy był w jednem mieście, a oto mąż pełen trądu, a ujrzawszy Jezusa i padłszy na oblicze, prosił Go, mówiąc:

— Panie, jeśli chcesz, możesz mię oczyścić.

A ściągnąwszy rękę, dotknął się go, mówiąc:

— Chcę, bądź oczyszczon!

A natychmiast odszedł trąd od niego; a On mu przykazał, aby nikomu nie powiadał; ale idź, ukaż się kapłanowi, i ofiaruj za oczyszczenie twoje, jako rozkazał Mojżesz na świadectwo im (Ew. Ś-go Łukasza).

Na niejaki czas Jezus opuścił Kafarnaum, błogą nowinę o królestwie Bożem opowiadał po wsiach i miasteczkach w Galilei. W jednem miasteczku zdarzyło się, że nadszedł trędowaty, „mąż pełen trądu“, a ujrzawszy Jezusa, padł na oblicze swe i prosił:

— „Panie, jeśli chcesz, możesz mię oczyścić!“

Trudno sobie wystawić coś opłakańszego nad niedolę trędowatego człowieka, a jeszcze Izraelity. Trąd — to powolne gnicie, powolne konanie; choroba bolesna, a bardzo brzydka. Ta choroba do dziś dnia panuje w całej mocy na Wschodzie. W wiekach średnich przyniesiono ją stamtąd i do Europy, i dziś podobne w Europie pojawy choroby nie dają dokładnego wyobrażenia o całej okropności trądu panującego na Wschodzie. Dosyć wspomnieć, że trędowatych bez miłosierdzia wyrzu-

cano z społeczności ludzkiej, by się nie szerzyła zaraza. A co już dla Izraelity nieszczęściem bez nazwy i miary, to, że uchodził za „nieczystego“ w rozumieniu Zakonu; więc był odcięty od kościoła, od ludu, od bietnic i nadziei Izraelowych. Trąd, to już kara najsroższa, jaką mógł zesłać Jehowa, gdy nie chciał kogo od razu wytrącić z pośród ludu Swego.

Teraz możemy sobie wystawić, jak gorąca była prośba trędowatego. On pewnie słyszał od innych, lub może sam był świadkiem, jak Jezus wyganiał duchów nieczystych, chorych uzdrawiał: i wierzy w cudowną moc, w litościwe serce tego Jezusa. I ta wiara, ta pokora wzrusza Jezusa: zmiłowawszy się nad nim, ściąga rękę Swą, dotyka się go i mówi:

— „Chcę, bądź oczyszczon! I natychmiast odszedł trąd od niego i był oczyszczon.“

Zakon nie pozwalał dotykać się trędowatego; Jezus dotyka się, daje więc wiedzieć, że jest wyższy ponad Zakon, uzdrawia nie jako sługa, lecz jako Pan (Chryzostom), który wszystko może, co chce. Jako Jehowa uzdrowił niegdyś na puszczy siostrę Mojżeszową, obsypaną trądem; teraz wobec tego trędowatego okazuje się Zbawicielem, Lekarzem, który uzdrawia, od wszelkiego trądu grzechu może wybawić Izraela.

Trędowatego, który natychmiast został oczyszczon, czeka jeszcze jedno zadanie: kapłani w imieniu Zakonu ogłosili go za trędowatego, wykluczyli z pośrodka ludu, z kościoła, więc do nich należy teraz rozpoznać stan jego obecny, przyjąć go na nowo do społeczności, przywrócić mu prawa wszystkie. Jezus przykazuje tedy najpierw, by nikomu nie powiadał o tem, co się z nim stało, nie uprzedzał sądu (wyroku) kapłanów w Jerozolimie, do których rozpoznawanie trądu i oczyszczenia należało z urzędu, nie dawał żadnego powodu, gdy się może gorszyć będą. Następnie każe mu iść spiesznie, przedstawić się kapłanom i ofiarować dar według przepisu Mojżeszowego. Ewangielista Marek dodaje, że Jezus mu zagroził jakoby rozgniewany i natychmiast go puścił. Jezus widzi, co się będzie działo tam w kościele, gdy się ten oczyszczony, ukaże kapłanom. Izraelita będzie im żywem świadectwem, że Ten, który go uzdrowił, do nich przysłał, jest Mesyaszem, nie jest nieprzyjacielem kapłanów, tem mniej Mojżesza.

Następny cud Chrystusa Pana, to uzdrowienie powietrzem ruszonego.

W Ewangelii świętego Łukasza czytamy:

Rozchodziła się o Nim więcej powieść i schodziły się wielkie rzesze, aby słuchali, i byli uzdrowieni od niemocy swoich. A On ustępował na pustynię i modlił się. I stało się dnia jednego, a On siedział, ucząc. I siedzieli Faryzeuszowie i zakonni Doktorowie, którzy byli przy-

szli ze wszystkich miasteczek Galilei, i Żydowskiej ziemi, i z Jeruzalem, a moc Pańska była ku uzdrowieniu ich. A oto mężowie, niosący na łóżku człowieka, który był ruszony powietrzem, i szukali go wnieść, i postawić przed Nim. A nie znalazłszy, którąby stroną go wnieśli przed rzeszą, wstąpili na dach i przez dachówki spuścili go z łóżkiem w pośrodek przed Jezusa. Których wiarę ujrzawszy, rzekł: Człowiecze, odpuszczają się tobie grzechy twoje. I poczęli myśleć Doktorowie i Faryzeuszowie, mówiąc: któż jest ten, co mówi bluźnierstwa? Któż może odpuścić grzechy, jeno sam Bóg? A Jezus, poznawszy myśli ich, odpowiadając rzekł do nich: Cóż myślicie w sercach waszych? Cóż jest łacniejszego rzec: Odpuszczają się tobie grzechy, czyli rzec: Wstań, a chodź? Lecz abyście wiedzieli, iż Syn człowieczy ma władzę na ziemi odpuszczać grzechy, (rzekł ruszonemu powietrzem): Tobie mówię, wstań, a weź łóżko twoje, a idź do domu twego. A natychmiast wstawszy przed nimi, wziął łoże, na którym leżał — i szedł do domu swego, wielbiąc Boga. I zdumienie zdjęło wszystkich i wielbili Boga. I napełnili się bojaźnią, mówiąc, żeśmy dziś dziwy widzieli.

Trędowaty uzdrowiony idzie do Jerozolimy ukazać się kapłanowi. Jezus przykazał mu, żeby w drodze nikomu nie rozpowiadał. Ale on, nie posiadając się z radości, że go tak wielkie szczęście spotkało, zapomina o rozkazie Jezusowym. Zaledwie się oddalił, „począł opowiadać i rozsławiać mową.“ I stało się, co można było przewidzieć, ze wszech stron schodzą się ludzie do tego Cudotwórcy, o którym im opowiadał oczyszczony trędowaty. Jezus nie mógł się już pokazać jawnie w żadnej mieścinie, musiał pójść na ustronie, na miejsca puste, na pustynię. I tu modlił się.

Tymczasem on człowiek przybył do miasta świętego. Zdaje jak najdokładniej sprawę z wyzdrowienia swego: jest im na świadectwo.

Co się z tego wywiąże?

Po kilku dniach Jezus wraca do Kafarnaum, do miasta Swego. Tu już oddawna czekano nań z wielką niecierpliwością. Kiedy posłyszano, że wrócił, tłumy ludu zbiegają się zewsząd, powstaje tłok ogromny, nawet na obszernym dziedzińcu placu przed domem nie mogli się wszyscy pomieścić. Bywało to już nieraz, ale dziś dzieje się coś niezwykłego; pośród tych tłumów widać i Faryzeuszów i Doktorów zakonnych. Przybyli z rozmaitych miasteczek okolicznych, ale, co dziwniejsza, nawet z Judei, nawet z samej Jerozolimy przybyli. Stało się, co przewidywał Jesus: świadectwo onego oczyszczonego od trądu porusza do głębi kapłanów, całą Jerozolimę, więc przychodzą aż tu, do Kafarnaum, na własne oczy przypatrzeć się, co robi ten Cudotwórca, którego tak serdecznie nienawidzą, przekonać się, co myśli, co mówi, co sądzi o Nim lud w Galilei.

Jezus naucza tłumy zebrane przed domem, „mówi do nich słowo.“ Moc Boża nie objawia się jeszcze uzdrawiając, ale już jeno co ma się ukazać; wtem nowe niezwykłe przedstawia się widowisko: czterech mężów niesie na łożu powietrzem ruszonego (paralityka, sparaliżowanego). Chcą się przedrzeć przez ciżbę do Jezusa, lecz nie mogą, gdyż tłok niesłychany, a drzwi zapchane ludem. Oni czterej mężowie nie zważają na te przeszkody. Powietrzem ruszony nieszczęśliwy bardzo. Srodze zbolały potrzebuje co prędzej pomocy, ulgi, a on i oniż sami wierzą mocno, że Jezus się zmiłuje. Więc wchodzą bez wszystkiego na nizki a płaski dach domu, zdejmują dachówki, pokrycie i tym otworem spuszczają łoże z chorym do wnętrza domu, stawiają tuż przed Jezusem. Och, teraz już Jezus zmiłuje się! I zmiłował się. Przerywa nauczanie, nie dbając, co powiedzą Faryzeuszowie i pisma uczeni, odzywa się do powietrzem ruszonego: „Ufaj, synu, odpuszczają się grzechy twoje!“

Po raz pierwszy widzimy Jezusa odpuszczającego grzechy. Gdy chrzcił w ziemi Żydowskiej, odpuszczał grzechy, ale to było objawienie mocy Jego, mocy Ducha świętego dla tych, co już uwierzyli byli Janowi, przyjęli jego świadectwo; to objawienie było zarazem i sądem nad niedowiarstwem. W Galilei nie chrzcił, nie objawił się odrazu Galilejczykom w sposób taki, bo by Go byli nie pojęli: zwolna, stopniowo prowadzi do najwznioślejszego objawienia się. Kiedy zaś w onych cudach wszystkich, które czynił aż potąd, okazał się „Mocnym“ i „Świętym“, który czartów wypędza, z trądu oczyszcza, i Galilejczycy przyjmują to z wiarą, więc teraz też mogą już usłyszeć z ust tego „Mocnego“, tego „Świętego“ słowo najwyższego znaczenia: „Odpuszczają się grzechy twoje.” Niedowiarstwo będzie się z tego gorszyło, ale wiara będzie się radowała z tego nowego znaku i dowodu Mesyańskiego posłannictwa Jego. To nie znak jaki nowy obok tylu innych, lecz największy, najdonioślejszy: w takim blasku, w takiej mocy może ukazać się tylko On od wieków obiecywany Mesyasz. Odpuszczenie grzechów — to treść, to podstawa całego Zakonu. Nasienie niewiasty, o którem już w Raju była wzmianka, ma zetrzeć głowę wężowi, ma naprawić winę niewiasty, zgładzić grzech, ma odjąć przeklęctwo, ciążące na rodzaju ludzkim. Ten cel i to zadanie rysuje się coraz wyraziściej w dalszych dziejach. Ofiara baranka wielkanocnego, ofiary Izraela wogóle wskazują już dość namacalnie sposób, w jaki Mesyasz odkupienia świata od grzechu dokona: ofiaruje Samego Siebie, życie swoje położy na odkupienie Izraela, będzie „Mężem boleści“, będzie starty dla nieprawości naszych, będzie Odkupicielem. Po siedmdziesięciu tygodniach Danielowych grzech weźmie koniec, nieprawość będzie zgładzona, Chystus zbit będzie. Takiego to Mesyasza, Odkupiciela od grzechów „Baranka Bożego, który gładzi grzechy świata”, wyczekiwał Izrael wierzący. Gdy więc dziś po raz

pierwszy z ust Jezusowych pada słowo: „Odpuszczają się grzechy twoje“, tak mówi prawy Mesyasz, a tylko niedowiarstwo może się dziwić takiemu słowu.

Powietrzem ruszony z wiarą i ufnością, ale i z bojaźnią podnosi oczy ku Jezusowi, bo więcej, niż boleści ciała dolegają mu grzechy. Jak Piotr, tak i on wobec tego „Świętego“ czuje wszystką swą niegodność. Ale Jezus pociesza go, „Ufaj, synu!“ Wpierw chorobę duszy uzdrawia: „Odpuszczają się grzechy twoje.“

Tuż przy łożu chorego siedzą Faryzeuszowie i Doktorowie zakonni. Słyszą słowa: „odpuszczają się grzechy twoje“, ale nie chcą rozumieć, ile w tych słowach pociechy dla świata całego. Wiedzą dobrze, że odpuszczać grzechy sam tylko Bóg może, który serca przenika; niedowiarstwo nie pozwala im z tych słów wysnuć ostatecznego wniosku, bo niedowiarstwo raz na zawsze zawyrokowało, że ten Jezus nie może być Mesyaszem, nie może być Bogiem. Poozynają więc myśleć, rozważać: w przewrotności swojej przychodzą do przekonania, że mimo wszystkich cudów, o których słyszeli, na które nawet sami patrzeli, ten Jezus ostatecznie jest bluźniercą, mówi bluźnierstwa, przywłaszcza sobie to, co samemu Bogu własne. Jezus przenika ich serca, zna ich myśli (Faryzeuszowie nie mówili tego głośno), więc rzecze: „Czemu to myślicie w sercach waszych?“ Te słowa, jak grom padają na Faryzeuszów. Widzą, że Jezus czyta w ich wnętrznościach; ale zamiast sobie przypomnieć, co mówi Psalmista, że to Bóg, który bada nerki, przenika serce, zamiast w pokorze paść do nóg, oni trwają w hardości, w tych złych myślach swoich. Jezus razi więc serca ich jeszcze potężniej: „Cóż jest łacniejszego: rzec: Odpuszczają się tobie grzechy, czyli rzec: Wstań a chodź!“ Wrażenie, zaciekawienie rośnie. I ten paralityk i lud wszystek czuje, że się stanie coś wielkiego... Jezus zwraca się do Faryzeuszów, potem do ruszonego powietrzem, i mówi: „Abyście wiedzieli, iż Syn człowieczy ma władzę na ziemi odpuszczać grzechy, mówię tobie (rzekł ruszonemu powietrzem): Wstań, a weź łóżko twoje, a idź do domu twego.“ „A natychmiast wstawszy przed nimi, wziął łoże, na którym leżał i szedł do domu swego, wielbiąc Boga.“

Niedowiarstwo pobite na głowę.

Gdy Jezus mówił do powietrzem ruszonego: „Odpuszczają się grzechy twoje“, Faryzeusze mogli mieć jeszcze niejaką wymówkę niedowiarstwa swego, bo mogli myśleć: „Łatwo mówić choremu: odpuszczają się grzechy twoje, bo kto widzi skutek?“ I ten ostatni wybieg nic nie pomoże. Odpuszczać grzechy, toć niewątpliwie większa rzecz, niżeli chorego na ciele uzdrowić, bo to tyle, co pokonać szatana, moce piekielne. Ale o to chodzi: co łatwiej powiedzieć, pierwsze czy drugie. Łatwiej mówić, że się grzechy odpuszczają, niżeli mówić: Wstań, a chodź!

Przy tem ostatniem musi się zaraz skutek okazać niechybnie. To muszą przyznać Faryzeusze i każdy o zdrowym rozumie człowiek; więc kiedy teraz powietrzem ruszony na jedno słowo wstaje, bierze łóżko swoje, idzie do domu, to jasna rzecz, że ten Cudotwórca nie może być zwodzicielem, a więc też może wykonać i to, co mówił o odpuszczeniu grzechów. Jezus wykłada sam, co zamierzał, czyniąc nowy cud. Nie mówi bowiem: Abyście wierzyli, lecz „abyście wiedzieli, że Syn człowieczy ma moc odpuszczać grzechy.“ To widzą, to muszą teraz wiedzieć, ale czy i uwierzą? To już od ich woli zawisło.

Syn człowieczy ma moc na ziemi odpuszczać grzechy. To wielkie objawienie dziś po raz pierwszy miało miejsce. Faryzeusze gorszyli się, że Syn człowieczy, ten niepozorny człowiek, ten Jezus odpuszcza grzechy, jakby był Bogiem: Jezus zatwierdza tę prawdę: „abyście wiedzieli, że Syn człowieczy ma tę moc na ziemi“, właśnie dlatego, że jest Synem Bożym, który się stał Synem człowieczym. Gdzie jeno żyją syny Adamowe, tam poczyna się moc Syna człowieczego, moc odpuszczania grzechów. Niedowiarstwo Faryzeuszów i Doktorów będzie od dziś dnia usiłowało pokrzyżować drogi i plany Mesyaszowe, ale wiara uczniów wzmoże się i utwierdzi. Na którą stronę przechylą się Galilejczycy (powietrzem ruszony już „wielbił Boga“), to przyszłość pokaże. Tymczasem „dziwili się wszyscy, bali się, mówili, żeśmy dziś dziwy widzieli.“

(D. c. n.)





Wniebowzięcie Najświętszej Maryi Panny.

Ave Maria!

Amen — niech się tak stanie!

Ostatnie słowo, którem kończymy, konkludujemy przedziwną modlitwę złączoną ze słowami Archanioła, wypada rozwadze poddać, żeby jej bezmyślnie nie powtarzać.

Znaczenie wyrazu — amen jest wielorakie, stosownie do przedmiotu, z jakim w związku zostaje.

Amen — czyli: oto tak jest — a także amen tłómaczymy: niech się tak stanie. Obydwa te znaczenie przyjmujemy i rozwinąć je postaramy się.

Tak — to jest amen: Tak! O, Maryo najczystsza, wszystka jesteś piękna, święta, pełna łaski. Jako ocean, który przyjmuje wszystkie dopływy i ma zakreślone granice — wolą Wszechmocnego w Maryi przechowane są wszelkie dary, z jakich czerpać możemy.

Wszystko tak jest — amen. Zaprawdę—o, Maryo, Pan jest z Tobą — istotnie, a zawsze jako niezmierzony — przez swą opatrzność, opiekującą się wszystkiem stworzeniem — a także przez szczególny przywilej — jaki nikomu nie jest przyznany. I łaskę masz poświęcającą, która jednoczy z Bogiem — Pan z Tobą, jako słońce złączone z zorzą, która ukazanie się jego uprzedza, jako ruczaj złączony ze źródłem, z którego wypływa. Maryo, Tyś Matką Syna Bożego, który stał się człowiekiem.

Tak, amen!.. O, Maryo, Tyś błogosławiona pomiędzy niewiastami i błogosławiona przez niewiasty wszystkie, jesteś wychwalana, wysławiana przez niewiasty, któreś wyzwoliła z poniżenia, oczyściła z przekleństwa, którym nadałaś siłę męstwa i mocy dla niej i one chwalone być mogą.

Odkąd powtarzamy te słowa składu apostolskiego: wierzę... i w Jezusa Chrystusa Syna Jego jedynego, który się począł z Ducha świętego, narodził się z Maryi Dziewicy — odtąd niewiasta odzyskała swój tytuł matki rodu ludzkiego, powołanego do dziedzictwa w Królestwie Bożem. Niepodobna czcić Maryi i poniewierać płeć niewieścią — jako kwiatem okrywa się drzewo, a z kwiatu otrzymujemy owoc — tak wyzwolenie niewiasty i jej prawdziwa *emancypacya* powinna była wyjść i wyszła z tajemnicy wcielenia Syna Bożego, który się narodził z Dziewicy Maryi. [1])

Tak jest wszystko — amen! Tak, o, Maryo! Jezus owoc żywota twojego — to Jezus, prawdziwy Bóg i prawdziwy człowiek, prawdziwy Bóg od wieków i prawdziwy człowiek w czasie — równie prawdziwy Bóg, jako i prawdziwy człowiek. Tak samo prawdziwy Syn Maryi, jako prawdziwy Syn Boży.

Jezus, błogosławiony owoc twoich wnętrzności — błogosławiony przez patryarchów i proroków. Błogosławiony przez wszystkie pokolenia chrześcijan; błogosławiony na ziemi od ludzi pielgrzymujących i od aniołów i wybranych świętych, zażywających szczęśliwości w niebie. Błogosławiony wszędzie i przez wszystkich — teraz i przez wieki; *benedictus fructus ventris tui, Jesus.*

Czy mniej błogosławiący, aniżeli błogosławiony?

Przyszedł na ziemię — żyje, naucza, działa — umiera, zmartwychwstaje, wstępuje w niebo — wszystko to czyni dla ludzi, dla naszego zbawienia. Kiedy Bóg błogosławi — siebie samego nam daje — któż był — jest i kto będzie więcej błogosławiącym — niż Pan Jezus?

W wyrazie amen nietylko zawiera się powtórzenie, streszczenie uwielbień — w nim także zamyka się cała treść próśb i wezwania. Dostatecznie poznaliśmy na czem opiera się nasza ufność ku Maryi.

Ponieważ jest święta nad wszystkich świętych — panagia i z tego tytułu najbliższy przystęp ma do tronu Najwyższego. Marya — Matką Boga — *Mater Dei,* prawdziwą matką wedle ciała — i naszą jest matką duchową.

O Maryi w swej dziecięcej miłości powiedział święty Franciszek Salezy: nie brakuje Jej ni władzy, ni możności — więc nic nie tłómaczy, gdyby nie wysłuchała słusznych naszych żądań.

Jesteśmy grzesznymi ludźmi, jako biedni... nędzarze nawet — stajemy przed Maryą Matką i ten stan wzrusza Jej serce, litościwem czyni. Więc zawołajmy: amen! — powtarzajmy: amen! — niech się tak sta-

---

[1]) Ubi venit plenitudo temporis, misit Deus Filium suum factum ex muliere.

nie. O, Maryo święta, łaski pełna, módl się za nami — niech się tak stanie, jak prosimy — amen!

O, Maryo, Matko Boża i nasza Matko — przemożnaś, więc wspomóż miłościwa, więc nie odwłócz — amen! O, Maryo — byłaś tem, czem my jesteśmy i osiągnęłaś to, czego nam udzielić możesz — módl się, miłosierdzia pełna, za nami grzesznikami teraz i w godzinę śmierci. O, Maryo święta, Matko Boża i nasza miłosierna Matko — bądź naszą obroną i wspomożeniem dziś i w ostatnią godzinę — niech się to stanie — amen!

Módl się za nami — i to zauważmy — niech żadne słowo bezmyślnie z ust naszych nie wychodzi. Nie o ciebie jednego chodzi, o wszystkich braci się troskaj—bo Marya nietylko twoją, ale jest Matką wszystkich. Dziecko niezgodne, zazdrosne, mściwe zasmuca matkę, a wielce obraża Maryę.

Tak samo, jak mówiąc: „Ojcze nasz“, nietylko dla siebie prosimy o chleb, o odpuszczenie win, o wyzwolenie od pokus i obronę od złego, w tenże sam sposób wzywamy pomocy Maryi. Powtarzając te słowa: „Zdrowaś Maryo“—nietylko pamiętać mamy o sobie, ale wstawiać się za wszyską bracią, polecać opiece Maryi całą rodzinę i wszystkich jej członków, całą parafię, cały kraj, wszystkich sprawiedliwych, wszystkich grzeszników. Błagać Ją mamy imieniem wszystkich strapionych, wszystkich cierpiących i za wszystkich na całej ziemi umierających.

Fizyczny porządek sprawia, że roślina rozmnażająca się w jakiejś miejscowości, obumiera i ginie, tymczasem zasiała się gdzieindziej; wiatr uniósł jej nasienie, znalazło sprzyjające warunki, grunt odpowiedni, i z.całą siłą odmładza się, pożytek dalej przynosi.

I w świecie duchowym, nadprzyrodzonym podobne zjawisko można zauważyć.

Wierzymy w obcowanie Świętych, czyli w związek jedności ze Świętymi. Cóż mi przeszkadza wierzyć, a nawet nie mieć pewności, że szczera modlitwa, że Zdrowaś Marya, którą odmawiam nietylko mnie pożyteczną będzie, ale to *Ave Maria* mogę ofiarować za moich braci, wyjednać dla nich pociechę, nawrócenie ze złej drogi, stateczność w cnocie, odporność w pokusach, szczęśliwą śmierć, choćby byli daleko o tysiące mil...

Maryo, Królowo ziemi i nieba, najukochańsza matko, po Panu Jezusie najpewniejsza ucieczko, módl się za nami biednymi grzesznikami teraz i w godzinę śmierci naszej. Amen.

ks. Wł. F.



Bolesław Biernacki.

NAWRÓCONY

Powieść historyczna z XIV wieku.

Chwalibóg serdecznie kochał śpiewki. Bywało struna zabrzęczy, lada jaki piszczek głos wyciągnie o nadobnej Wylinie, Trzech Krzesiach — Lechu, Czechu i Mechu — wnet cechmistrzowi serce taje, a śluzy po twarzy się toczą. Nie zabacza przytem o słodkich napitkach, więc karczmarki woła, beczułki jedną i drugą miodu wytaczać rozkazuje z lochu; towarzysz kreski na stole karbuje, a on jeno raz po raz przedziwny napitek pociąga i pieśni słucha a słucha. Cóż dopiero kiedy Rybałt, praktyk doskonały i mistrz nad mistrzami, z luteńki srebrnej począł wydobywać dzwonienia, a tęskliwym głosem nucić! Dziwili się wszyscy pospołu śpiewakowi i zacni rajcowie i kramarze, a nawet karczmarka sama wilgotnym toczyła wzrokiem dookoła, z wezbranej piersi westchnienia czułe wyrzucała i myliła się wciąż, bo miasto trzech, pięć i sześć kresek za wypity trunek karbowała panom ławnikom i innym patrycyanom. Lecz ktoby się o takie fraszki wadził!...

Chwalibóg rozwiązał mieszek, głęboko do dna garścią sięgnął i wysypał na stół srebrnych okrągłych groszy wiele.

— Jak ta łuna po jasnym niebie chodzi...

— Dzień jest, mości cechmistrzu — ryknął ktoś z boku, tedy o słońcu praw!

— Psia wiara! Powiadam łuna, to łuna!...

— Kiedy słońce w oczy patrzy!—powtórnie przerwał uparty, również drożdżami podlany głos.

— Dla kogo słońce, niech będzie słońce, dla mnie łuna... Ja kreski mażę, a karczmarka pisze! — wadził się Chwalibóg.

— Cichojcie! — zwrócił się rybałt, albo zaprzestanę gędzenia i pójdę pod inny wieniec. Jakże to? — dodał—dwóch zacnych cechmistrzów jednego rzemiosła wadzą się o byle co, jako żaki.

Na to przemówienie podniósł się z ławy Chwalibóg, i szedł zwolna do cechmistrza z Poznania.

— Zdarz Bóg! — kłaniał się maluchny orzeszek.

— Boże zdarz! — brzmiała odpowiedź i cechmistrz z Poznania, że był wysoki, schylił się, nasz Chwalibóg zaś uniósł na palcach, jęli się całować, jakoby przyjaciele zażyli, albo kmotrowie. Karczmarka postawiła gąsior miodu, Rybałt rad, że mu się udało zwadę zażegnać, wychylił jeden i drugi kubeczek, wytarł gębę i począł dobywać wdzięcznego głosu, a wtórując na skrzypicy, zaczął śpiewkę o Olgierdzie, wielkim kniaziu litewskim, co siedzi w Wilnie, jakoby nasz król w Krakowie i o Dymitrze, wielkim kniaziu moskiewskim. Cechmistrze wydłużyli słuchy, a dech zaparli w piersiach, takoż inni przysunęli się do Rybałta i otoczyli go kołem. Cisza stanęła. Muszyska przestały nawet brzęczyć, jeno głos śpiewaka słychać było. A on zawrotkami, poczynającemi się stale od wykrzyknika: „Hejże dana, nasza dana, dana!“ opiewał bohaterskie przewagi nieznanego kniazia moskiewskiego Dymitra, który Mamaja Temnika, carza tatarskiego wielkiego, wstępnym bojem na głowę pogromił, tak, iż więcej niż na trzynaście mil trupów tatarskich pełne pola, drogi i role leżało. Podniesiony tem zwycięstwem Dymitr, umyślił także Litwę pogany wojną dochodzić. Wyprawił tedy do Olgierda posły huczne z zapowiedzią wojenną, a przytem na schwał zuchwałej hardości, posłał mu szablę i ogień, obiecując go w Wilnie przywitać z temi upominkami wielkiem, albo krasnem jajem na Wielik dzień. [1]) Obiecował całą Litwę za rok zwojować i okazać potęgę swoją i moc.

Wysłuchał Olgierd zuchwałych posłów, potem strażą otoczyć kazał, a sam poszedł po radę do Kiejstuta i innych książąt. Gorze wypadła rada! Uchwalono obwołać wieść po wszystkich krajach litewskich i ruskich. W naznaczonym dniu przednie zbrojne szyki stanęły pod jednem miastem, które zową Witebsk. Wszyscy bracia książęta z Kiejstutem na czele, jako jeden mąż stanęli. Wnętrzności ich palił

---

[1]) Wielkanoc Zmartwychwstania Chrystusa Pana. Przypisek autora.

ogień gniewu, w piersiach grała ochota. Ruszył tedy, niemieszkając Olgierd, a za nim wojowników tysiące, prosto z Witebska ku miastu Moskwie. Śpieszno dniem i nocą ciągnęli, nie bawiąc się pustoszeniem, ani paleniem. Luta zima ziemię hartowała. Śpiegowie i straże zawżdy byli przed wojskiem, z boków i z tyłu. Pod Możajskiem stanął obozem, wypoczywał i stamtąd dopiero ruszył w porządnej sprawie, jako do bitwy. Posły moskiewskie odprawił i kazał im oddać swemu księciu Dymitrowi żagwie zapalone i szmaty z ogniem, a krom tego przykazał im powiedzieć: iż Olgierd, żywiąc należną cześć dla bohaterskich przewag księcia Dymitra, uprzedza go w wyrządzeniu uczciwości sam będzie na Wielik dzień w Moskwie i odda mu wielkanocne jaje, pierwej, niż ten ogień w żagwi zgaśnie. Nie trza go było Litwie, gdyż krzemienia a krzesiwa ma dosyś doma na rozpałkę.

Wielki kniaź Dymitr szedł z bojary przednimi na jutrznię wielkanocną, kiedy go posłowie spotkali z ogniem w żagwi. Świtaniem wielki kniaź Olgierd pod miasto przyciągnął. Rozpoczął Dymitr rokowania, gdyż nie ufał obronie zamkowej i miejskiej. Po długich namowach nastąpiło jednanie dwóch wielkich kniaziów. Przedsię wjechał Olgierd zbrojno z Kiejstutem, innymi kniaziami i z bojary do zamku moskiewskiego. Bramy otworzono dobrowolnie, a w cerkwi zaś przywitał sławnego Dymitra, oddał mu krasne wielkanocne jaje i rzekł: „Widzisz teraz wielki kniaziu, Dymitrze! Kto z nas raniej na wojnę wstaje". Poczem kopię o ścianę zamkową skruszył.

Skończył śpiewankę Rybałt, a słuchacze dziwowali się jeszcze rycerskiej obrotności Olgierdowej.

— A ja taki dzierżę, że nasz król Bolesław Chrobry albo i niedaleko sięgając, zmarły rodzic Wielkiego Kazimierza sławniejszych dokonywali przewag! — huknął garścią w stół dębowy cechmistrz z Poznania. Zabrzdąkajcie-no o Kijowie albo o Płowcach. Obaczymy czyja lepsza — czy pogańskiego kniazia (pfu! splunął tutaj cechmistrz i wtrącił: na zatracenie psubratom!), czy naszego wielkopolskiego króla.

— Mówcie polskiego, nie zaś wielkopolskiego króla — wtącił jeden z rajców...

— Patrzcie! jacy żeście dyć uczeni! — wrzasnął zapalczywy wielkopolanin. Nie było Sandomierza ani innych grodów, nawet waszego krakowskiego, o którym jeszcze kraki żadne nie krakały, a Poznań, Gniezno już po wszech ziemiach i wodach słusznej sławy zażywały. Z tamtego gniazda wyfrunęły orłowie polscy.

— I myszy! — wtrącił złośliwie maluchny orzeszek, Chwalibóg.

Niedosłyszał cechmistrz Słupa odpowiedzi, gdyż nagle pociemniało w izbie, strugi dżdżu związały niebo ołowiane z ziemią, po czarnych chmurach przewalać się poczęły grzmoty — piorun huknął jeden, dru-

gi, trzeci... Obecni pod wiechą schylili kornie czoła, unieśli prawice w górę i słychać było szept pacierza:

— W imię Ojca, Syna, Ducha świętego...

Tymczasem za drzwiami, na rynku spienione wody pędziły wartkim potokiem, wiatr hulał, jak wielki mocarz, shylał do ziemi konary drzew, trzaskał gałęzie i unosił na pola, a grzmoty waliły jakoby sto oblężniczych taranów rozbijało mury.

Wśród takiego piekielnego wrzasku, dżdżu, wichury, otwarły się na oścież drzwi, raczej wpadło niż weszło kilkanaście osób obojga płci. Straszne były to postacie! Tak samo niewiasty, jak mężczyźni nagiemi świecili członkami, jeno od bioder osłaniali wstydliwe części, w ręku zaś trzymali jedni krzyże, inni z suchej żyły wołowej korbacze albo kieścienie. Knutami temi czy to białki czy mężczyźni, wszystko jedno walili się po obnażonych plecach bez miłosierdzia, aż krew strugami ciekła, a ciało odchodziło od kości.

— Biczownicy — szepnął w ucho Rybałt małemu cechmistrzowi. Na miły Bóg! trzymajcie się jeno zdala od nich. Przeciw ich czarom nie pomoże żadna siła, nawet pokrzywa trzymana w ręku, ani ruta zebrana przed wschodem słońca.

— Ejże!

— Tak ci jest, jako Bóg na niebie! Na Łyse góry jeżdżą nie na łopacie lub miotle, jak zwyczajne czarownice, lecz na promieniu księżycowym, a przyłapani nawet na obcowaniu z dyabłami, albo między sobą, o czem jak na dłoni przekonać się snadnie można, gdyż i ciężarne z niemi chodzą niewiasty, każdy sąd oszukają: rzuceni na wodę, nie utrzymują się na powierzchni, lecz jakoby niewinni pogrążają się w głąb...

— Ola Boga!

— Wyświecili ich z Sandomierza, w zacnem jednem mieście Lublinie jednego z ich starszych, kiedy ni z tego, ni owego, morowa zaraza spadła na gród i siła ludzi natłukła, wiece miejskie żywcem poćwiartować kazało i rozwiesić drgające członki na bramach grodu; innych łamano kołem, a dwie ciężarne białki spławiono w wrzącej smole...

— Okrutnie i wpoprzek wszelakim statutom postąpił sobie wójt tego miasta. Ciężarnej niewiasty nielża tknąć palcem! — wtrącił zgorszony Chwalibóg.

— Dyabłów, jako żywo, dyabłów w żywocie nosiły... Cichojcie, wedle czego skupili się tak kołem...

Nie czekał odpowiedzi Rybałt. Przedarł się przez tłum i w mgnieniu oka stanął między biczownikami. Zdumienie i przerażenie zatrzęsło jego duszą, co zobaczył. Na podłodze leżała obnażona młoda dziewka czy niewiasta. Czarne, duże oczy miała otwarte, lica blado-trupie, wargi zaciśnięte. Nie dawała znaku życia. Z prawej skroni toczyła się

czerwona nitka krwi, która spływała po twarzy i szyi. Klęczał nad nią schylony człowiek, położył ucho na piersi i wysłuchywał bicia serca. Inni sekciarze w milczeniu patrzyli to na białkę, to na pochylonego człeka, który snać nie domacał, czego szukał, bo westchnął głęboko. Przedsię nadziei nie tracił jeszcze. Odgarnął posiekanemi rękami białą zasłonę z krągłego, a białego jak marmur łona i począł je przygniatać, co raz mocniej, przekonał się, że naciska martwą jeno bryłę. Podniósł się tedy, wyprostował, a wyglądał jak dąb rozłożysty. Obrócił kaprawe oczy na towarzyszów, rozszerzył wargi, lecz dźwięki zamarły mu w przełyku.

Rybałt śledził starca oniemiały. Nie wierzył własnym oczom: oto po pergaminowej twarzy, pochylonego wiekiem męża spływały łzy.

Tymczasem skłębił w sobie ból starzec i rzekł mocno:

— Kojcie się! Kania nie doczekała dżdżu, przed czasem Bóg ją powołał do przybytku swego!

Jękły piersi, jak dzwony pogrzebowe. Podniosły się rozgłośne narzekania, zaświstały w powietrzu twarde rzemienie, spadać poczęły razy. Sekciarze biczowali się wzajemnie, wnet też obnażone plecy spływały rumianą krwią.

Bykowce warczały, a starszy sekciarz, jakoby arcykapłan, zerwał ze skroni swoich zielony wieniec, rzucił go na ziemię i deptać począł, na znak bólu i żałoby.

Rybałt wycofał się z koła, gdyż łacno zdarzyć się mogło, że i on, stojący tak blizko biczujących się, mógł oberwać korbaczem.

— Biada, biada, biada, po trzykroć miastu i królestwu temu — miotał skargi starzec, który stał przy zmarłej. Oto po latach wspaniałych, nadejdzie dzień czarny i krwawy dzień grzmotów i piorunów. Kruki chciwe żeru, szakale wiecznie głodne, z północy, z zachodu i wschodu rozszarpią na kęsy żywe łono tej ziemi, jelita wytoczą, zgodnie się niemi podzielą, a na szerokim, wielkim świecie nie znajdzie się ani jeden mąż, któryby nad umęczoną zapłakał... I dzień ten trwać będzie długo, długo, długo...

Sekciarze wtórowali starcowi jękiem: Biada, biada, biada temu, kto się narodził. Mieszczanie zaś krakowscy, zgromadzeni w gospodzie, w przerażeniu słuchali okrutnych żalów. Znalazł się jednak człek śmielszej natury, co na ławie wraz z innymi, starszymi miasta zasiadał, wilkirzami ludzi karał. Ufny przeto w moc swego urzędu i władzy, zakrzyknął mocno:

— O krukach kraczesz, kruku! Jakoweś pomsty dyabelskiemi praktykami na gród zacny ściągasz. A nie wiesz to, czem takowe praktyki bezecne pachną: dolna wieża, włóczenie koniem, ćwiartowanie

i śmierć okrutna, oto co was czeka. Ruszajcie stąd precz, jeżeli wam zdrowie i żywoty miłe.

— Jako żywo prawda! — zawtórował wnet Rybałt, bezpiecznie osłonięty potężnemi barkami cechmistrza z Poznania.

— Że oszalały z bólu, po stracie tej oto białki płaczem zawodzim i że widzenia złowróżbne mnie unoszą, nie nasza wina, lecz Boga, co w niebie siedzi, a sprawami naszemi kieruje.

— Bluźni, jak na dłoni jasne! — szepnął Rybałt.

— Lutnisto, czy wesołku — podniósł surowo starzec, nie gotujcie stryczka na bliźniego, bo zdawać się może, że z czasem na nim zawiśniecie.

W tym momencie rozjaśniła izbę błyskawica, jedna, druga, trzecia... Z twarzy Rybałta zbiegła krew i stała się trupio bladą, jako zwłoki, leżącej na ziemi białki. Huk straszny wstrząsnął izbą. Ludzie zachwiali się na nogach. Zdawało się, że rozwarły się wierzeje piekła i pioruny strzaskają świat i wszystko, co na nim istnieje lub żyje.

— O! baczenie dawajcie — szumiał głos starca, mocniejszy niż grzmoty, aby was Bóg nie pokarał tem ogniem. Dajcie nam odzienie dla dziewki. Nie o bogatą ochędóżkę, o, nie myślcie, prosimy. Wystarczy prześcieradło jedno szare. Owiniemy w nie ciało dziewki, pójdziemy pogrzebać pod Bożą męką. Ślubujemy wam wzamian, że żadna nasza noga nigdy już nie odciśnie śladów na rynku tego grodu.

Znów skrzyżowały się błyskawice, a po niebie toczyły się grzmoty. Zmiękł nawet ławnik. Skinął na gospodynię i rozkazał dać biczownikom, o co prosił starszy sekciarz.

— Niech idą! — rzekł, bo to oni, nie zaś kto inny sprowadził tę burzę na głowy nasze.

(D. c. n.)



Światła wiary i nauki.

Święty Kazimierz królewicz.

Nic wstrętniejszego, jak żebrak pyszny, nic piękniejszego i bardziej budującego, jak możnowładca pokorny.

U ludzi biednych, ciężko na kawałek chleba pracujących, w społeczeństwie żadnego nie mających stanowiska, nieraz pragnienia nie będąc w zgodzie z rzeczywistością i możebnością, robią człowieka nieszczęśliwym i jak tacy ludzie z własnego, że tak powiemy interesu, powinni być pokornymi, tak znowu pod królewską purpurą serce pokorne, rzadkiem jest zjawiskiem.

A mówimy tu o pokorze w najszerszem znaczeniu.

Kto pokorny, ten do niczego nie roszcząc sobie prawa, we wszystkich żądzach a pragnieniach swoich doczesnych, jest umartwionym. Dlatego słusznie powiedziano, iż świętość w ostatecznych skutkach swoich jest tylko pokorą i to drugie „z pokory niebo.“

Takim bardzo rzadkim wyjątkiem pokory i umartwienia na stopniach tronu i przy bogactwa królewskich, był Kazimierz, królewicz polski.

Pomiędzy licznem potomstwem Kazimierza Jagiellończyka i Elżbiety, arcyksiężniczki austryackiej, którzy mieli aż sześciu synów, a siedm córek, z kolei trzecim, a pomiędzy synami drugim był nasz Kazimierz.

Matka świętego Kazimierza wiele w młodości swej przecierpiała. Już w trzecim roku życia odumarł ją ojciec, cesarz Albrecht, później nieco matka. Młode sierotki brat i siostra pozostały pod opieką stryja, cesarza Fryderyka III. Opieka cesarza wskutek ówczesnych zamieszek oplitycznych była niewystarczając. Opowiadano sobie, że sierotki żyją

w niedostatku, co bardzo lud bolało. Aż pewnego razu powstało w Wiedniu gwałtowne poruszenie ludu. Do kościoła karmelitańskiego wprowadził Ulryk, jeden z przyjaciół zmarłego cesarza Albrechta, sierotki, okazał młodą Elżbietę ludowi, mówiąc:



Święty Kazimierz w towarzystwie ks. Długoszem rozdaje ubogim jałmużnę.

— Patrzcie na tę dzieweczkę dostojną... odzież na niej podarta, obuwie dziurawe!...

Rozżalona królewna wybuchła płaczem. Postanowiono zmienić opiekę, co gdy uczyniono, wkrótce młodziutka królewna wyszła za mąż za króla polskiego i została matką świętego.

Urodzony 3 października 1458 r., syn Kazimierz ze starszym od siebie Władysławem, późniejszym królem czeskim i węgierskim, a z młodszymi braćmi: Janem Olbrachtem, Aleksandrem i Zygmuntem, królami polskimi, tudzież Fryderykiem, kardynałem i prymasem rzeczypospolitej, wychowywał się w twardej szkole, pod czujnem okiem kanonika krakowskiego, sławnego dziejopisa, Jana Długosza.

Latorośl godną była takiego ogrodnika.

Jak wielu innych świętych, on się nie ziemskim, lecz niebiańskim urodził obywatelem. Od kolebki samej, przyrodzoną jego sercu była bogobojność i ta od bogobojności nieodłączna cnota: czystość serca i obyczajów.

Mógł także z biblijnym Jobem mówić: litość wyszła ze mną z łona matki mojej.

Dla siebie samego umartwiony do tego stopnia, iż na gołem ciele nosił włósienicę, na ziemi sypiał, a w Grodnie, kędy najczęściej i najdłużej przebywał, bosemi nogami, po śniegu w nocy szedł modlić się u drzwi kościelnych; miłosiernym, a prawdziwie po królewsku hojnym był dla ubogich. Pewnego razu, chorym będąc, gdy mu lekarz w dni postne zalecił używać pokarmów z nabiałem, wolał głód cierpieć, aniżeli post złamać; bo nie chciał ani na jotę odstąpić od ustaw kościelnych.

Tym, którzy go sobie zawczasu przez pochlebstwo ująć chcieli, w nadziei, iż po śmierci ojca tron odziedziczy, uprzejmie odpowiadał:

— Daj to, Boże, aby pan i dobrodziej mój, ojciec, którego mi Pan Bóg czcić rozkazał, jeśli to być może, nigdy nie umierał, a szczęśliwie królował. Niech ja pierwej umrę, bym na ojca mego śmierć nie patrzał. Jest z samym sobą co do czynienia; a wielka praca, nad sobą i złemi skłonnościami swojemi być panem.

W życiu jegu, Bogu wyłącznie poświęconem, cichem i spokojnem, jak noc letnia księżycem oświetlona, na chwilę zaszła przerwa.

W r. 1471, Kazimierz przez stronnictwo na Węgrzech niechętne Maciejowi Korwinowi, do korony świętego Szczepana wezwany, lat mając dopiero trzynaście, wyruszył na Węgry, ale od tych, którzy go wezwali opuszczony, nie mając nawet przy sobie zaciężnego wojska, które niepłatne rozeszło się, ustąpił i z tej niefortunnej, bez należytego i politycznie i wojskowo przygotowania podjętej wyprawy, do Polski powrócił.

Rodzice i dostojnicy polscy i litewscy radzili świętemu Kazimierzowi, iżby sobie obrał stan małżeński. Napróżno! On sobie już obrał, od chwili kiedy zaczął myśleć i chcieć, oblubienicę a towarzyszkę życia swojego: czystość dziewiczą. I pozostał jej do grobu wiernym. Dla niej, dla jej miłości umarł. Rozchorzał i w chorobie lekarze jedyny

przed śmiercią ratunek widzieli w tem, czego on się bał więcej, aniżeli doczesnej śmierci. „Wolę umrzeć, aniżeli duszę swoją pokalać“ — mówił do nich. I bez krwi wylania męczennikiem umarł.

Korony ziemskiej, choć się przy niej urodził, nie nosząc, poszedł po wiekuistą dnia 4 marca 1484 r., przed wschodem słońca w niedzielę, w Grodnie, na zamku królewskim. Żył lat 24 i 5 miesięcy.



Straż w nocy, u stóp świątyni, znajduje na modlitwie świętego Kazimierza.

Święty Kazimierz był wzrostu średniego, włosy i oczy miał ciemne, nos równy i średni, twarz piękną, wesołą i kształtną, lekkim rumieńcem ubarwioną, postawę wspaniałą, jak na królewicza przystoi, wzrok miły i ujmujący, słowem, powierzchowność harmonijnie układała się z duszą.

Ciało przewieziono do Wilna i tam w kościele katedralnym świętego Stanisława, w grobie królewskim, pod kaplicą Bogarodzicy, blizko drzwi, przed któremi w nocy się modlił, złożono.

Zygmunt III i Władysław IV wystawili dla świętego Jagiellończyka piękną kaplicę ze wspaniałym, z drogiego marmuru grobowcem i w dniu 14 sierpnia 1639 r., w obecności Władysława IV z żoną, nuncyusza Maryusza Philonardi, dostojników duchownych i świeckich Korony i Litwy, do tej kaplicy święte szczątki przeniesiono.

Podczas przenoszenia kości świętego Kazimierza, w grobie znaleziono hymn łaciński do Najświętszej Panny, który się zaczyna od słów:

— Co dzień śpiewaj, duchu mój, pochwały Maryi, Jej prace, Jej uroczystości.

Przez wieki hymn ten przypisywano świętemu Kazimierzowi, który on codziennie odmawiał

Atoli najnowsze badania okazały, iż ten hymn jest tylko wiązanką niektórych strof z wcześniejszego o wiele poematu łacińskiego, którego autorem, ma być święty Bernard.

Kazimierza królewicza polskiego świętym Leon X 1521 r. ogłosił, a Klemens VIII, który pierwej był legatem w Polsce, w r. 1602 dozwolił w dniu 4 marca corocznie obchodzić pamiątkę błogosławionej śmierci i pacierze kapłańskie o nim odmawiać.

(D. c. n.)



M. Michaud.

HISTORYA WOJEN KRZYŻOWYCH.

ROZDZIAŁ XV.

Zwycięstwa Saladyna. Oblężenie warownego miasta Świętojańskiej Akki (od 1189 do 1190 r.).

W chwili, gdy przystępujemy do opowiadania o wojnach krzyżowych, tak niezmierna ilość wydarzeń, pochodzących z jednego okresu czasu, ciśnie się natychmiast do głowy, że historyk czuje się narazie skrępowanym, nie wiedząc, jak sobie z tym olbrzymim materyałem radzić — od czego opowiadanie swe rozpocząć. Niepodobieństwem byłoby trzymać się tu ściśle daty; trzeba o tyle posuwać się naprzód i tak pilnie trzymać się myśli przewodniej, aby masa ta najrozmaitszych faktów wyłożoną była w należytym porządku.

Kiedy w całem świecie chrześcijańskim rozbrzmiewają hasła, nawołujące lud do walki z Saladynem — zwycięzcą Tyberyady i Jerozolimy, wojska sułtana w dalszym ciągu pustoszą ziemię świętą chrześcijańską. A jednak znalazło się miasto, które zdołało niespodzianie powstrzymać zwycięskie wojska nowego władcy Wschodu: mieszkańcy Tyru złożyli przysięgę, że wolą umrzeć co do jednego, niż poddać się nieprzyjaciołom krzyża; to szlachetne poświęcenie z ich strony było dziełem Konrada, syna markiza de Montferrat, który w samą porę przybył do Tyru, gdyż mieszkańcy, wyczerpawszy wszystkie swe siły, już—już mieli się poddać Saladynowi. Konrad tymczasem objął nad nimi do-

wództwo, powiększył szańce, wzmocnił mury fortecy; mieszkańcy Tyru pod jego rozkazami umieli bić się z żołnierzami i flotą saraceńską.

Ojciec Konrada, wzięty do niewoli w bitwie pod Tyberyadą, jęczał w więzieniach w Damaszku.

Pewnego dnia Saladyn kazał przywołać go do siebie; postanowił on użyć pośrednictwa starca—markiza de Mentferrat, ażeby zmusić syna jego — dzielnego obrońcę Tyru do złożenia broni.

Sułtan obiecywał Konradowi, że wypuści ojca jego na wolność, że da mu rozległe dobra w Syryi, jeżeli tylko otworzy bramy miasta. Jednocześnie groził, że jeśli Konrad tego nie uczyni, to wystawi markiza przed front swego wojska, pod pociski nieprzyjacielskie.

Konrad odpowiedział, że gardzi podarkami z rąk niewiernych, że droższe mu są cierpienia chrześcijan, niż życie ojca i jeżeli Saraceni są na tyle okrutni, że każą niewinnie umierać starcowi, to i niechaj się tak stanie — powiększy on tylko grono męczenników za wiarę.

Saladyn, otrzymawszy taką odpowiedź, niezwłocznie przystąpił na nowo do szturmu. Mieszkańcy Tyru mężnie się bronili. Na morzu, u przedmurzy miasta, bezustannie staczano bitwy. Muzułmanie wszędzie natrafiali na bohaterski opór ze strony rycerzy krzyżowych, przed którymi niejednokrotnie już drżeli z podziwu i przestrachu.

Straciwszy nadzieję zdobycia Tyru, Saladyn wyruszył na zdobycie Trypoli, lecz i tu szczęście mu nie posłużyło i zmuszony był miasto to porzucić.

Gwido Luzynian, odzyskawszy wolność, powziął zamiar ponownego wstąpienia na tron królewski, a gdzie — to mu już było wszystko jedno, byleby tylko zostać królem. Nie wskórawszy nic pod murami Tyru, który nie chciał uznać go za króla, Gwido udał się do Ptolemaidy na czele dziewięciu tysięcy żołnierzy, których zdołał skupić pod swe sztandary i tam zamierzał przywdziać koronę królewską. Ptolemaida, zwana jeszcze Świętojańską Akką, wznosiła się na brzegu morza, granicząc z olbrzymią pustą równiną; od strony lądu strzegły jej mury wysokie, rowy głębokie, baszty olbrzymie, śród których szczególniej uwydatniała się baszta, zwana „Przeklętą". Kamienna tama zamykała wejścia do bramy, a nieopodal, pośród fal morskich, na osobnej skale stała niewielka forteca. Oblężenie Ptolemaidy, które trwało całe dwa lata, rozpoczęło się w końcu sierpnia 1189 r. Flota, wystawiona przez Pizańczyków, strzegła wszystkich miejsc dostępnych od strony morza. Maleńka armia króla Gwida rozpostarła się obozem na wzgórzu Turon, leżącem w pobliżu Ptolemaidy, od strony równiny.

Czwartego dnia od chwili przybycia swego chrześcijanie przystąpili do szturmu. Według słów pewnego kronikarza, pierwszy ten szturm byłby niezawodnie utorował drogę do wnętrza fortecy, gdyby nie wieść

o zbliżaniu się wojsk Saladyna, która niespodzianie wzbudziła paniczny strach w obozie oblegających. Tymczasem dwanaście tysięcy żołnierzy — Fryzów i Duńczyków, oddział Anglików i Flamandczyków pod dowództwem arcybiskupa z Kantorbery i Jakóba d' Avesnes, przybyło na pomoc armii Luzyniana.

Saladyn także przybył ze swą armią i rozpostarł namioty na wzgórzu Kisan, otaczając ze wszech stron namioty chrześcijan. Po kilku próbnych bitwach Saladyn, widząc, że nie tak łatwo zwyciężyć wojska chrześcijańskie, postanowił wydać walną bitwę w piątek o godzinie, poświęconej u wszystkich narodów, wyznających religię mahometańską, na nabożeństwo i modlitwę; umyślnie wybrał ten dzień i tę godzinę, aby podwoić fanatyzm i zapał armii muzułmańskiej. W bitwie tej Saladynowi udało się przepędzić chrześcijan z zajmowanych przez nich pozycyi na wybrzeżu morskiem i przedostać się do środka twierdzy. Zostawiwszy w mieście oddział żołnierzy, sułtan wrócił z powrotem na wzgórze Kisan.

Codziennie przybywały nowe zastępy wiernych z zachodu. Dzięki zasiłkom, nadesłanym z Włoch, Francyi, Anglii i Niemiec, obóz chrześcijański zwiększył się znacznie; głębokie rowy i szańce, usypane z ziemi, otaczały obóz i nadawały mu wygląd silnej placówki. Przeszło sto tysięcy wojska znajdowało się pod murami Świętojańskiej Akki w chwili, kiedy najpotężniejsi monarchowie, stojący na czele wyprawy krzyżowej, czynili jeszcze przygotowania do wyruszenia swego w drogę.

Już czterdzieści dni Francuzi oblegali to miasto i bezustannie staczali bitwy z garnizonem lub wojskami Saladyna. Czwartego października armia chrześcijańska porzuciła wzgórze i rozpostarła szyki swe bojowe na równinie, gotując się do krwawej, rozstrzygającej bitwy. Wielu z duchowieństwa przywdziało na się hełmy i pancerze. Król Gwido, przed którym czterej rycerze nieśli księgę Ewangelii, stanął na czele wojsk francuskich i oddziałów rycerzy — szpitalników. Konrad, przybyły z Tyru w celu okazania pomocy chrześcijanom, objął dowództwo nad oddziałami weneckimi, lombardzkimi i tyryjskimi. Landgraf z Turyngii szedł na czele Anglików, Pizańczyków i Niemców, tworząc środek armii. Wielki mistrz Zakonu Templaryuszów ze swymi rycerzami i wódz z Geldr z oddziałem swym stanowili rezerwę. Obozy powierzone były pieczy Jakóba d' Avesnes i Geofroy Luzyniana. Przy pierwszem starciu lewe skrzydło armii muzułmańskiej poczęło się cofać w nieładzie. Obóz Saladyna dostał się w ręce chrześcijan. Duża ilość Saracenów w popłochu i ze strachu porzuciła pole bitwy i umknęła aż do Tyberyady.

Chrześcijanie, zostawszy panami obozu nieprzyjacielskiego, rzucili się do namiotów, aby je rabować. Śród zwycięskich wojsk niebawem

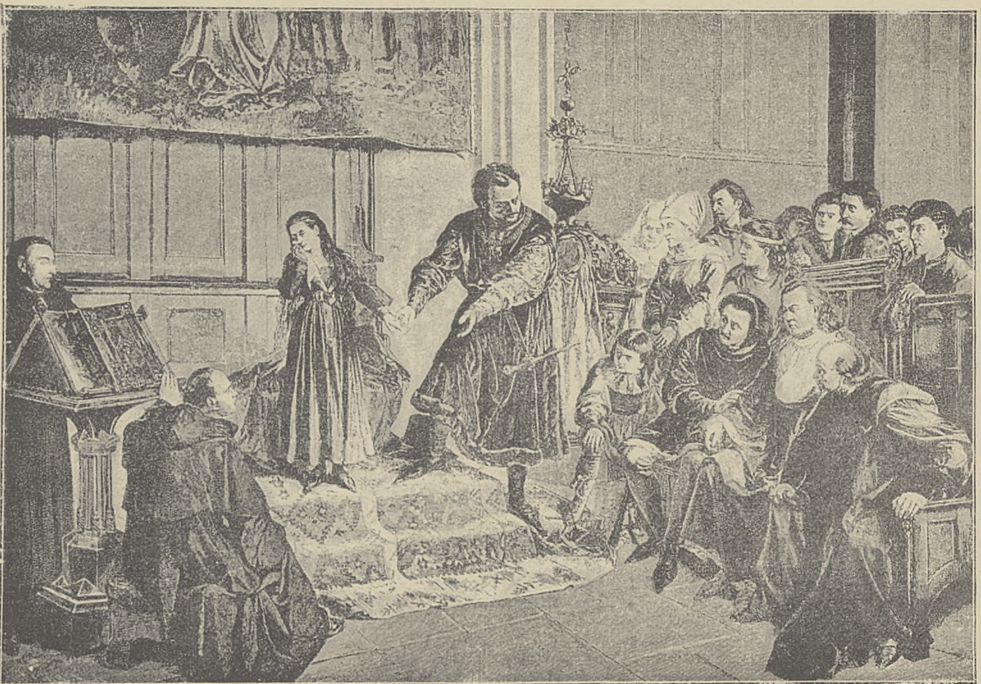
powstał nieład wielki. Saraceni, spostrzegłszy, że ich przestano ścigać, zebrali się na dane przez Saladyna hasło i na nowo rozpoczęli bitwę. Przestrach i groza owładnęły krzyżowcami. Z każdą chwilą w obozie ich wzrastało coraz większe zamieszanie; poczęto utyskiwać i szemrać; niesforne rzesze przestały słuchać rozkazów dowódców swych, straciwszy zupełnie przytomność umysłu. Henryka de Brienne zwalono z konia, gdy chciał zachęcić do bitwy żołnierzy swych; pokryty ranami i blizki śmierci wydał okrzyk rozpaczy, co bynajmniej nie wzruszyło nikogo z jego uciekających towarzyszów, nawet samego brata jego Erarda de Brienne; markiz z Tyru, opuszczony przez swoich, zmuszony był szukać ocalenia pod bokiem szlachetnego i mężnego Gwida Luzyniana. Jakób d' Avesnes uszedł cało jedynie dzięki poświęceniu jednego młodego żołnierza, który ofiarował mu swego konia. Na polu bitwy pozostali niemal jedynie Templaryusze i mężnie się bronili; większość z nich poległa; wielki mistrz, dostawszy się w ręce Muzułman, zmarł w namiocie Saladyna. Pamiętnego tego dnia więcej niż dwieście tysięcy żołnierzy padło trupem na równinie pod Ptolemaidą.

Przed zimą armia muzułmańska udała się w góry Sarońskie, zwane przez Arabów Karuba z powodu wielkiej obfitości chleba świętojańskiego, rosnącego w tych górach. Co zaś do krzyżowców, którzy ocaleli i utrzymali się na placu boju, to ci zajęli wzgórza, wznoszące się dokoła Ptolemaidy. Chrześcijanie pokopali głębokie rowy na pochyłości wzgórz, sami zaś ulokowali się na ich szczytach; po bokach gór powznosili wysokie mury; obóz ich tak szczelnie był zamknięty, mówi pewien historyk arabski, że chyba tylko ptaki mogły się doń przedostać. Potoki zimowe pokryły równinę. Krzyżowcy nie obawiali się już więcej armii Saladyna i bez wytchnienia prowadzili w dalszym ciągu oblężenie Ptolemaidy; garnizon twierdzy nie mógł już dłużej bronić się własnemi siłami i oczekiwał jedynie pomocy ze strony armii muzułmańskiej.

Z początkiem wiosny liczni książęta muzułmańscy z Mezopotamii i Syryi przybyli połączyć się z armią Saladyna, który opuścił góry Karuba i przy odgłosie trąb i bębnów, z rozpiętymi sztandarami, przeprawił się w oczach wojsk chrześcijańskich przez równinę. Wówczas rozpoczęły się nowe bitwy.

Podczas zimy trzy olbrzymie baszty oblężnicze na kołach burzyły mury fortecy Świętojańskiej Akki; podczas jednej walnej bitwy maszyny te zostały spalone za pomocą sztucznych ogni, których wynalazcą był mieszkaniec Damaszku; wypadek ten wielce zatrwożył armię chrześcijańską; landgraf z Turyngii do takiego stopnia upadł na duchu, że wrócił do Europy.

Ani chwili wypoczynku nie dano oblegającym. Sztandary chrześcijańskie i mahometańskie jednocześnie splotły się w walce na morzu



Patrzcie na tę dzieweczkę dostojną.. odzież na niej podarta, obuwie dziurawe..

i na lądzie; okręty europejskie i azyatyckie, naładowane bronią i amunicyą, staczały zacięte walki pierwej, nim się przedostać mogły do przystani Ptolemaidzkiej. Zwycięstwo lub przegrana lada chwila miały przynieść albo bogactwo, albo głód jednej lub drugiej stronie walczących.

Jednocześnie na brzegach rzeki Belus, a także na okolicznych wzgórzach — Mahamaria i Kisan codziennie rozlegał się szczęk broni i huk pocisków. Wóz, na którym wznosiła się baszta z krzyżem i białym sztandarem, służył za punkt zborny dla wojsk chrześcijańskich i przewodniczył im podczas bitw. Armia Frankońska odznaczała się większem męstwem niż karnością; żądza zdobyczy pchała ją po za granice obozu; wodzowie, pozbawieni wszelkiego znaczenia, nie mogli jej dłużej utrzymać na miejscu. Saladyn, mając większy wpływ na swoich żołnierzy, często korzystał z nieładu i zamieszania, powstałego w obozie chrześcijańskim, uderzał na nieprzyjaciół z podwojoną energią i wprost z rąk zwycięstwo im wydzierał.

O rychłem przybyciu wojsk niemieckich pod dowództwem samego cesarza poczęto coraz głośniej mówić na wschodzie. Saladyn przerażony wysłał na wywiady oddział wojska, oczekując każdej chwili zjawienia się jednego z najstraszniejszych swych nieprzyjaciół; bardzo wielu książąt muzułmańskich porzuciło pole działań wojennych pod Akką Świętojańską i wyruszyło do swych posiadłości, aby bronić ich od najazdu krzyżowców, ciągnących z zachodu. Krzyżowcy, obawiając się, że Niemcy nie zechcą podzielić się z nimi owocami zwycięstwa, nalegali na swych wodzów, aby co rychlej na nowo rozpoczęli bitwę; zmniejszenie się armii Saladyna uważali za najsposobniejszą chwilę do zadania ostatniego ciosu nieprzyjaciołom. Książęta i duchowieństwo probowali ostudzić ten nierozumny zapał, na nic się jednak nie zdały ich wysiłki! W dzień świętego Jakóba zbuntowane i pałające żądzą łupu tłumy wiernych porzuciły swe obozy i wyległy na równinę. Zgraja ta niebawem rzuciła się na obóz Saladyna; Muzułmanie, niespodzianie zaskoczeni, z początku cofnęli się przed nawałą nieprzyjacielską. Lecz kiedy chrześcijanie z całą chciwością i zaślepieniem oddali się grabieży, wówczas Saraceni na nowo skupili swe siły i uderzyli na zwycięzców, zajętych okradaniem namiotu Malek-Adela, brata Saladyna.

Miecz turecki ciężko ukarał chrześcijan za ich chciwość i nieposłuszeństwo. „Nieprzyjaciele Boga—mówi jeden kronikarz arabski, — ośmielili się wyjść do obozu lwów islamu; doznali za to dotkliwie skutków gniewu boskiego; padali bowiem pod mieczami Muzułman, jak liście jesienną porą podczas burzy.“ — „Trupy, które pokryły pole pomiędzy wzgórzem a brzegiem morza, leżały dziewięcioma rzędami—mówi inny historyk arabski,—a w każdym rzędzie było co najmniej tysiąc żołnierzy.“ Na dobitek złego garnizon forteczny (Ptolemaidy) tegoż samego

dnia wtargnął do obozu krzyżowego; zrabowano wszystkie namioty chrześcijańskie; uprowadzono dużo kobiet i dzieci, pozostawionych bez najmniejszej opieki.

Przygnębienie i rozpacz chrześcijan nie miała granic, gdy dowiedziano się o śmierci Fryderyka Rudobrodego i nieszczęściach, jakie dotknęły armię niemiecką. Wodzowie krzyżowi nie myśleli już o niczem innem, jak tylko o powrocie do Europy; wtem nieoczekiwanie zjawia się flota w przystani w Ptolemaidzie; otucha wstępuje w serca zrozpaczonych chrześcijan na widok świeżo przybyłego zasiłku, który tworzyli Francuzi, Anglicy i Włosi — na czele hrabiego Henryka z Szampanii. Saladyn wobec tak dużego zasiłku uląkł się i po raz drugi cofnął się ku wyżynom Karubskim. Rozpoczęto nowe szturmy. Potężne tarany, olbrzymie baszty, zbudowane z drzewa, żelaza, stali i bronzu, które kosztowały hrabiego z Szampanii tysiąc pięćset monet złotych, groziły fortecy zniszczeniem; dużo razy krzyżowcy przystępowali do ataku i jużjuż mieli zatknąć sztandar zwycięski. Oblężeni niezmordowanie bronili swej placówki, podpalili machiny oblężnicze, przez ukryte wejścia wydostali się nazewnątrz murów fortecznych i przepędzili krzyżowców aż do ich obozu.

Garnizonowi Ptolemaidy przybył morzem na pomoc oddział wojska; krzyżowcy, w celu pozbawienia oblężonych możności komunikowania się ze swoimi, postanowili przedewszystkiem zawładnąć najgłówniejszą basztą fortecy. Wyprawa ta jednak, odbyta pod dowództwem wodza austryackiego, nie powiodła się; okręt, naładowany materyałami wybuchowymi, skierowany był w stronę przystani; miał on spalić flotę muzułmańską; wtem zmienił się kierunek wiatru i okręt ten pomknął wprost w stronę drewnianej wieżycy, umieszczonej na okręcie wodza austryackiego; w mgnieniu oka płomienie ogarnęły basztę i okręt chrześcijański. Gdy się to działo, armia krzyżowa jednocześnie napróżno bombardowała miasto; wojska Saladyna, korzystając z wygodnego przejścia, napadły na obóz chrześcijański; krzyżowcy zaś rozbiegli się na wszystkie strony, aby ratować namioty swe od ognia i łupiezców. Działo się to w chwili, kiedy przybył Fryderyk, wódz szwabski, jeden z nielicznych niedobitków nieszczęsnej armii niemieckiej. Chciał on zamanifestować przybycie swe wydaniem bitwy nieprzyjacielowi, lecz plan ten spełzł na niczem. W armii chrześcijańskiej coraz dotkliwiej dawał się uczuwać głód. Rycerze zmuszeni byli zabijać własne konie; drożyzna zapanowała straszna. Panowie i magnaci, przyzwyczajeni do wykwintnych potraw, musieli wtedy żywić się potrawami z roślin i korzonków, chciwie ubiegając się o nie. Głód sprawił, że niejeden z żołnierzy krzyżowych przeszedł na stronę nieprzyjaciół.

(D. c. n.)

———

Wspomnienia z dziejów ojczystych.

Z pod słomianej strzechy.

III.

Kiedy Polacy całą nadzieją i sercem byli z legionami, w kraju, jak się to rzekło, nowi panowie rządzili, jedni chcieli z Polaków porobić Niemców, inni Rosyan; to też język polski usunięto ze szkół; lud był brany gwałtem w rekruty i musiał bić się i umierać za cudzą sprawę. W Rosyi nastąpił po Katarzynie cesarz Paweł, jej syn, a choć również dziwaczył i przymuszał ubierać się podług ukazu, przecież czuł, że krzywda działa się narodowi polskiemu. Zaraz też wypuścił Kościuszkę, Kilińskiego, Niemcewicza i innych z więzień petersburskich, a nawet i z Sybiru, gdzie poprzednio wielu na wygnanie wysłano. Miał podobno i inne jeszcze dla Polski dobre zamiary; ale nagle żyć przestał i dlatego nic nie dokazał.

Nadszedł rok 1806, kiedy nasz młody Kurpiak został już od dwóch lat pełnoletnim; było to pod zimę, kiedy władze pruskie zarządziły pobór rekruta z tej części Polski, którą zadrapali.

Landrath z Ostrołęki posłał swoich knechtów policyjnych i oddział huzarów, aby wybrali rekruta w całej Myszynieckiej puszczy. Ale ani jednego popisowego nie zastali w domu; rozproszyli się dookoła, że i śladu nie było, gdzie znikli. Rozzłoszczeni Prusacy klęli na czem świat stoi: *Potz*! *Kreuz*! *Blitz*! *Himmel*! *Donner-Wetter*! *Ferfluchte Polaken*! [1]) i z niczem do pana Landratha wrócili.

---

[1]) Znaczy: niech jasne pioruny trzasną w tych przeklętych Polaków!

Oczywiście i naszego młodego Kuwika nie znaleźli w domu. Landrath wyznaczył sztrafy, to jest kary pieniężne na rodziców, których synowie uszli przed poborem, ale Kurpie nie kwapili się jakoś z pieniędzmi.

Gdzież się ci popisowi ukrywali? gdzie podział się nasz Tomasz? Ha! puszcza szeroka i głęboka, a co do naszego zbiega, to we dnie przebywał w znanych mu dobrze gęstych kniejach, a na noc zachodził do domu dla posiłku i przespania się na sianie w stodółce. Jakżeż on i jego współziomkowie mieli iść pod pruski karabin, kiedy któregoś dnia oto, przychyleni do ziemi, wsłuchiwali się w daleki jęk armat tu na polskiej ziemi, bo o jakich dziesiątek mil stąd, pod Pułtuskiem krwawa bitwa Francuzów z Rosyanami wrzała, w której zwyciężyli Francuzi wraz z polskiemi zastępami.

Tak upłynęło dni kilka, gdy podczas ukrywania się Tomka w kniei, przygramolił się tam brat jego starszy, Wojciech, co to chromał na nogę i począł hukać i nawoływać jakoś odważnie Tomka.

— A co tam takiego? — ten zapytał, wyszedłszy z gęstwiny — co się stało?

— Pójdź do dom śmiało — objaśniał go brat. — Prusacy, jak zające uciekają do Prus!

— Co ty mówisz? jestże to prawda?

— Prawda, jak mi Bóg miły, uciekają na Chorzele, ze wszystkiemi manatkami swojemi.

Istotnie, po zwycięstwie Napoleona pod Pułtuskiem, wzięci teraz we dwa ognie, bo i do Prus wojna się przeniosła, Prusacy jak niepyszni do swego *landu* stąd pośpiesznie umknęli, aż się za nimi kurzyło!

Upłynęło znowu dni kilka. Zima już na dobre się rozwinęła i pokryła śniegiem, niby białemi festonami odwieczne drzewa puszczy Myszynieckiej. Mróz co dzień się wzmagał, po borach rozlegało się nocą wycie wilków, snać zgłodniałych.

Jednego mroźnego poranku, gdy słońce grudnicwe, słabo grzejące, przedzierało się przez konary sosen, brzóz i modrzewiów, a na śnieg rzucało całe garści brylantów, nasz młody Kuwik wyszedł z dubeltówką w las, by snać upolować jakiego szaraka lub sarnę na zbliżające się święta Bożego Narodzenia. Szedł tak leśną drożyną, gdy naraz usłyszał przed sobą rozlegające się krzyki rozpaczliwe:

„A hu! a hu! ratunku, kto żyje!“

Poskoczył szybko naprzód ze strzelbą w ręku Tomek, a widząc, jak trzy wilki opadły jakiegoś wędrownego dziada, obciążonego torbami i broniącego się kosturem ze skórką jeża na końcu, wypalił ze swej dwururki w tego, który wskoczył na piersi biedaka i darł się ku jego gardłu. Kula utkwiła w zadzie wilka tak, że ten warcząc, runął na

ziemię. Drugi wilk dobierał się do pleców żebraka, a trzeci z rozwartą paszczą także sunął ku niemu. Nasz młody Kurp', krzyknąwszy na tego drugiego z zamierzoną kolbą, oderwał go od pleców napastowanego na to tylko, aby mógł bezpiecznie doń strzelić. Rozległ się strzał i wilk, ugodzony w sam łeb, padł na niemię nieżywy. Trzeci wilk, widząc, co się stało z jego kamratami, przystanął pod krzakiem, wyszczerzywszy wrogo zęby. Tomasz miał w pogotowiu kolbę strzelby, a widząc, że wilk się nie rusza, nabił pośpiesznie broń na nowo, a tymczasem też napastnik umknął.

Wtem rozległ się przed Kurpiem tętent kilku koni. Za chwilę stanęło przed nim czterech jeźdźców; z wybitnych oznak dwaj pierwsi wyglądali na oficerów, a dwaj pozostali, jako prości żołnierze; ci oprócz pik, mieli przy boku pałasze, a oficerowie prócz tego pistolety w olstrach.

Pierwszy z oficerów, widząc na ziemi położonych dwa wilki, młodego Kurpia z dubeltówką i dziada w poszarpanem odzieniu, obcierającego sobie rękawem krew z podrapanej piersi, domyślił się wszystkiego, co tu zaszło.

— Czołem! młody zuchu! — powitał go oficer. — Tomasz ukłonił się, uchylając czapki — a raczej nizkiego kapelusza, ustrojonego w czaple piórka. — Słyszeliśmy dwa strzały — tamten mówił dalej — i prosto przypędziliśmy tutaj, sądząc, że może się na co tutaj zdamy.

Tomasz opowiedział po krótce o całem zdarzeniu, a także kim jest i gdzie dom jego.

— Może panowie wstąpicie do naszej chaty ogrzać się i odpocząć, stąd niedaleko — zapraszał Tomasz — rodzice bardzo będą panom radzi.

— I owszem — odpowiedział oficer starszy — właśnie też do waszej kurpiowskiej puszczy wybraliśmy się z umysłu, to i zasięgniemy bliżej u was języka w sprawie ważnej.

— Po zabite wilki przyjdzie tu brat mój starszy i służąca, żeby je zawlec do domu — rzekł Tomasz — a i wy, dziadku, pójdźcie też z nami.

— Niech Bóg panoczkowi nagrodzi za wszystko, a i za to, że mnie obronił od pożarcia przez wilki — dziękował starowina i pociągnął za jeźdźcami, którzy obok Tomasza stępa jechali.

W pół godziny stanęli wszyscy w półborku Kuwików; Tomasz z bratem umieścili konie gości w stajence; gospodarz uprzejmie powitał przybyłych, a żona jego nakryła stół czyściutkim obrusem białym w pasy kolorowe, który sama utkała. Zajęła się też zaraz w kuchni ugotowaniem gorącego krupniku z miodu na tłuszczu ze słoniny i z mocnej gorzałki. Postawiła go niebawem w dużym dzbanie na stole wraz z kubkami, a obok jajecznica z cebulką i bochenek chleba uzupełniły

posiłek. Wtem na wieść o przybyciu do Kuwików jeźdźców polskich zeszło się kilku sąsiadów z półborków i leśnictw...

— Ja jestem rotmistrz Zawadzki — odezwał się przy krupniku starszy oficer — a towarzysz oto mój namiestnik Szremer, obaj z korpusu jenerała Dąbrowskiego, który pod tę chwilę kwateruje w Łowiczu, gdzie ze szlachty wypełnia i formuje pułki jazdy. Prusaków wypędziliśmy już z Mazowsza i Wielkopolski. Dla formowania jak najśpieszniej wojska polskiego zwołano także pospolite ruszenie. W tym celu Józef Radzimiński, wojewoda gnieźnieński, jako pierwszy senator polski, wydał w dniu 2 grudnia r. b. 1906 uniwersał na pospolitą obronę.

Tutaj wyjął z zanadrza papier, gdzie w uniwersale skopiowanym między innemi stało: „Niech każdy, kto może władać orężem, siada na koń, a najmniej niech z każdego domu jeden z synów czy braci zbrojno pod chorągwią bronienia ojczyzny na koniu stawa i jednego z sobą lub dwu pocztowych wiedzie ubranych w wojewódzkim mundurze, krojem kurtek i czapek wojskowych. Z wiejskich mieszkańców będą formowane kompanie kosynierów.“

— Mnie jenerał Dąbrowski — mówił dalej rotmistrz Zawadzki — polecił w Łomżyńskiem zebrać służących dworskich i myśliwych i sformować z nich pułk strzelców. W tym celu przybyłem oto z panem namiestnikiem i do waszej Myszynieckiej puszczy, gdzie Kurpie są celnymi strzelcami i ochoczymi zawsze do skrojenia kurty nieprzyjacielowi, jak się już ongi wsławili, przetrzepawszy tu dobrze Szwedów Karola XII. Daj, Boże! abym tu znalazł początek dobry.

— I znajdzie go pewnikiem pan rotmistrz — odezwał się ojciec Kuwik.

— Tak, tak, znajdą się ochotnicy dookoła — odezwali się niemal jednocześnie obecni sąsiedzi, a z nimi i młody Kuwik — ja pierwszy na koń siądę.

— A! widzi pan rotmistrz — rzecze gospodarz — już z mego syna pierwszy ochotnik, a dawno rwie się on do tego, — poszczęść mu, Boże!

— Niech się tak sprawia wasz junak z Prusakami i wszelkimi wrogami, jak z temi wilkami, cośmy je w lesie widzieli — rzekł uśmiechając się namiestnik — a wielu z nich nie wróci już do domu.

— Dięki Bogu! dzieciuch z niego odważny i jaskółki w locie kulkami zbija.

— Znajdzie tu pan rotmistrz więcej takich — zrobił uwagę jeden z bartników.

Rotmistrz i namiestnik podali dłonie Tomaszowi na znak, że go już za swego podkomendnego uważają, a podziękowawszy za gościnę

gospodarzom, udali się w swej sprawie dalej, do sędziego bartnego i do nadleśnych w puszczy, a też i do niektórych dworów. Ochotnicy mieli naznaczony punkt zborny w Myszyńcu.

Zaraz po wyjściu oficerów z ich ordynansami, Tomek pobiegł do kowala, aby mu okuł ostro długą pikę, szablę swoją podostrzył i oczyścił, a też opatrzył swą strzelbę i ładownicę sobie przyrządził, a kulbakę na konia jeszcze po dziadku, co walczył był przy konfederatach barskich, dał rymarzowi odnowić.

U sędziego bartnego, gdzie oprócz naszego Tomka zebrała się jeszcze garstka bartników i leśniczych, opowiadał rotmistrz Zawadzki o tem, jakto Napoleon pobiwszy do cna Prusaków pod Auerstädt i Jeną, szedł ku ziemiom polskim. Dąbrowski tuż za nim wkroczył z legionami do Wielkopolski, gdzie też był i on, rotmistrz, podówczas jako adyutant Dąbrowskiego.

— Och! cóż to była — mówił — za radość w Poznaniu, w Warszawie z naszego powrotu! Lud klękał przed końmi, całował ręce swych obrońców i każdy, kto czuł się przy siłach, porywał za broń i stawał w szeregach, pewny, że przyszła pora wyswobodzenia ojczyzny.

Tymczasem, gdy się gromadzili Kurpie — ochotnicy z całej puszczy Myszynieckiej, a także z okolicznych wiosek: Dobra, Przystań, Nowa wieś, Wyszel, Mostowo, Mostówek, Myszyniec, Glinki, Krasnosielsk, Rożany i t. d., Napoleon, stawszy się panem całych Prus, mógłby je do cna zniweczyć i z karty Europy wymazać. Ale on, zjednany przez zalotną królowę pruską Ludwikę, nie zrobił tego. Jeno naglony przez zniechęcających się już wodzów polskich, zamiast całą oswobodzić Polskę, zawarł z cesarzem rosyjskim Aleksandrem I pokój w Tylży r. 1907 i tam jedynie ze skrawka dawnej Rzeczypospolitej Polskiej utworzył Księstwo Warszawskie. Należała do niego Wielkopolska z Poznaniem i Kaliszem, a też Mazowsze z Warszawą.

Księstwu nadał prawa konstytucyjne z sejmem w Warszawie i wojsko polskie ustanowił, którego naczelnym wodzem został książę Józef Poniatowski, a księciem warszawskim naznaczył Fryderyka Augusta, króla saskiego, który znowu rozkazy od Napoleona odbierał.

Otóż nasz młody Kurp' pożegnawszy się z ojcem, zapłakaną matką i bratem Wosiem, wsiadł na ojcowego, małego ale krzepkiego mierzyna i jako całkiem wyekwipowany konny strzelec znalazł się niebawem z drugimi w oddalonym o parę mil Myszyńcu. Było tych ochotników kurpiowskich, a też parę kompanij kosynierów, razem do ośmiuset ludzi. Rotmistrz Zawadzki zostawił był w Myszyńcu kaprala, który ochotników uczył musztry, komendy i konie ich ostrzeliwał, by się czasu bitwy nie strachały.

W Myszyńcu, który ze wsi stał się miasteczkiem, była dość obszerna kaplica; dla poczciwych Kurpiów jeszcze w XVII stuleciu pobudowała ją pobożna królowa Marya Ludwika, żona Jana Kazimierza i osadziła tam misyonarzy ze zgromadzenia Jezusowego. Wprawdzie rozpoczął już teraz budowę pięknego, murowanego kościoła starosta ostrołęcki Jan Kos, ale nabożeństwa odprawiały się jeszcze w kaplicy.

Pewnego dnia już po godach odbywało się w owej kaplicy nabożeństwo na intencyę nowozaciężnych ochotników, którzy wpierw już jak na śmierć wyspowiadali się, a na to nabożeństwo zgromadziło się z puszczy wiele luda, tak, że większa część, nie mogąc się pomieścić w kaplicy, modliła się na dworze, pod jej ścianami. Byli tam starzy i dzieci, Kurpianki mężatki i ich córki, ubrane w krótkie sukmanki, spódnice wełniane w kolorowe pasy, własnego wyrobu. Zwłaszcza dziewczęta były, jak zwykle, ładnie przystrojone, pod szyją koszule bielutkie, czerwoną wstążką związane, włosy spadające na plecy splecione w dwa długie warkocze, zakończone pękami wstążek różnokolorowych, a na szyi miały mnóstwo paciorków szklanych i bursztynowych, boć wiadomo, że właśnie w Ostrołęckiem o bursztyn nie trudno. Starsze i młodsze Kurpianki miały, jak to widzimy i dzisiaj, bardzo zręcznie ułożone chustki na tekturowej podkładce, w kształcie gładkiej korony.

Na nabożeństwie tem byli także rodzice i brat naszego młodego wojaczka.

— Bądź roztropnym jak wąż, a mężnym jak lew — i niech cię Bóg ma w swojej opiece — przemówił Kuwik do syna, który całował ręce rodziców. Matka ze łzą w oku żegnała go i wsunęła w rękę woreczek z talarami srebrnemi.

Po obiedzie, matki tym i owym synom rozdały medaliki poświęcane. Wreszcie przy okrzykach ludu, trąbce kaprala i śpiewie: „Jeszcze Polska nie zginęła!“ — wyruszył cały oddział ochotników z tęgiemi minami w pochód; gdyż przyszedł rozkaz z Ostrołęki, ażeby przyśpieszono wymarsz. Tam uczynił przegląd p. Zawadzki, któremu na skutek raportu o pomyślnem zebraniu ochotników naczelny wódz książę Józef Poniatowski oddał dowództwo nad tym oddziałem strzelców konnych kurpiowskich, jako ich pułkownikowi, a namiestnik jego, Szremer, został podpułkownikiem.

Zrazu rozmieszczono ich wzdłuż granicy pruskiej, zanim, jak to się następnie dowiemy, powołano ich do Warszawy. Teraz zaś pilnowali granicy i już niejednokrotne mieli utarczki z napastniczymi Prusakami.

(D. c. n.)

Józef Grajnert.

Historya illustrowana Kościoła świętego
RZYMSKO-KATOLICKIEGO
w obrazach i życiorysach.

Karol Wielki. Odszczepieństwo Focyusza i Cerularyusza. Cyryl i Metody.

Co się stało z Focyuszem? Ten, tyle razy potępiony, nie ustąpił ze swego. Przebywając na wygnaniu, chociaż nie cierpiał ani tysiącznej części tego, co sam Ignacemu sprawił, uskarża się jednak ustawicznie w swych listach na ucisk i niesłuszne cierpienia, wichrzy na wszystkie strony przez tajnych swych wysłańców, szukając stronników i pomocy między biskupami, których sam wyświęcił i błędami swoimi zaraził. Wreszcie wpada na szatański pomysł nowego fałszerstwa, aby zdobyć sobie łaskę cesarską. Cesarz Bazyli wstydził się tego, że pochodził z nizkiej rodziny; otóż Focyusz, aby połechtać jego dumę, podrabia na starym pergaminie proroctwo, niby z dawnych czasów pochodzące, w którem ród cesarza jest wyprowadzony od królów armeńskich i które przepowiada, że z tego rodu wyjdzie najsławniejszy na świecie cesarz. Pergamin ten przez stronników swoich podsunął Focyusz Bazylemu, gdy ten przeglądał cesarski zbiór książek. Zawiadowca tego zbioru, czyli bibliotekarz cesarski, oświadczył cesarzowi, że tylko Focyusz wie, co to pismo znaczy. Cesarz zaciekawiony odwołuje Focyusza z wygnania, a gdy ten mu wyłożył, że to pismo przepowiada jego, cesarza, osobę i sławne panowanie, zapomniał Bazyli, że ma do czynienia z fałszerzem i wrogiem Kościoła i wielkiemi łaskami go obsypał. Było to jeszcze na krótko przed śmiercią świętego Ignacego, który w żaden sposób zgodzić się nie chciał na przywrócenie godności biskupiej

Focyuszowi, jako wyklętemu heretykowi. Dopiero po śmierci Ignacego Focyusz, wsparty pomocą zaślepionego swą pychą cesarza, zagarnął przemocą tron patryarszy, a mszcząc się na świętym Ignacym, kazał grób jego zaorać, aby i śladu po nim nie było. Zaczęło się na nowo prześladowanie prawych biskupów i kapłanów, którzy odszczepieńca swoim patryarchą uznać nie chcieli. Do papieża wyprawił Focyusz znowu poselstwo, że już Ignacy umarł, a on z woli cesarza, duchowieństwa i ludu objął rządy patryarchalne i prosi tylko o potwierdzenie Ojca świętego. Zapomniał nędznik, że niedawno sam wyklinał tego papieża, do którego teraz zwracał się z udaną pokorą.

Papież, spodziewając się, że przez zatwierdzenie Focyusza uniknie się nowego rozdwojenia w Kościele, przychylił się do prośby jego i polecił swoim posłom, wyprawionym już nieco wcześniej do Konstantynopola, aby na miejscu porządek ustalili. Zażądał jednak, aby Focyusz, jeśli chce być potwierdzonym przez papieża, upokorzył się pierwej wobec biskupów, żałował za grzechy swoje i naprawił zło, które dotąd zdziałał. Lecz Focyusz pofałszował listy Ojca Świętego przy tłómaczeniu na język grecki i w takiej pofałszowanej postaci odczytał zebranym zewsząd biskupom. Focyusz wyrzucił z tych listów wszystko, co było na jego przyganę, a wstawił takie rzeczy, które się obracały na jego pochwałę, a zamiast prosić o przebaczenie za swoje okrucieństwa nad Ignacym i za nieposłuszeństwo papieżowi, on się znowu wyniósł po nad Ojca Świętego, bo na soborze zasiadł na pierwszem miejscu. Czując się już bezpiecznym po zatwierdzeniu papieskiem, popuścił cugle swojej niepohamowanej pysze i zaraz po odjeździe posłów papieża zaczął na nowo przyganiać nauce Kościoła Rzymskiego o pochodzeniu Ducha świętego od Ojca i Syna, a w liście do papieża odzywał się zuchwale i wyniośle. Było jawną rzeczą, że Focyusz nie myśli o pozbyciu się swych błędów i poprawie życia. Stąd też nowy papież Jan VIII, po dokładnem zbadaniu na miejscu w Konstantynopolu całej przewrotności Focyusza, wyklął go ponownie z ambony w Rzymie i odjął mu godność patryarszą. Klątwę tę ponowili i następcy jego, papieże Marynus i Stefan i odtąd już wszyscy, co trzymali stronę Focyusza, uważani byli za odłączonych od prawdziwego Kościoła.

Roku 866 umiera opiekun Focyusza, cesarz Bazyli, a tron przechodzi w ręce syna jego Leona. Focyusz, obawiając się nowego cesarza, znanego z wielkiego rozumu i sprawiedliwości, rozpoczął wichrzyć przeciwko niemu i usiłował osadzić na tronie jednego ze swoich krewnych. Zdrada jednak wyszła na jaw, a Leon, ustaliwszy się na tronie, natychmiast usunął Focyusza i skazał go na wygnanie. Patryarchą został brat cesarski Stefan, potwierdzony przez papieża, przez co spokój i jedność znowu Kościołowi powrócono. Focyusz tymczasem, okryty hańbą

schyzmatyka, heretyka, fałszerza aktów i dokumentów, okrutnika i przywłaszczyciela godności patryarszej, wreszcie buntownika przeciwko cesarzowi, potępiony przez kilka synodów i dziewięciu z rzędu papieży, dwa razy wypędzony z przywłaszczonej stolicy, wlókł dalej w jakimś klasztorze swój haniebny żywot i w niepokucie skonał roku 891.

Takiego to ojca i założyciela swojej religii mają Grecy.

Przypatrzmy się dalszym losom greckiego kościoła. Po usunięciu Focyusza, jedność z Kościołem Rzymskim trwała przez lat sto sześćdziesiąt, ale nie była ona mocną, gdyż w wielu umysłach tliły błędy, zaszczepione przez Focyusza, zwłaszcza błąd o pochodzeniu Ducha świętego tylko od Boga Ojca. Potrzeba było lada podmuchu wiatru, aby z tej iskierki błędu wybuchł na nowo pożar schyzmy. Stało się to za patryarchy Michała Cerularyusza, który jest jakby drugim ojcem schyzmy greckiej.

Wstąpił na stolicę patryarszą roku 1043, a mając dużo w swym charaterze podobieństwa do Focyusza, zajął nieprzyjazne stanowisko wobec Rzymskiego Kościoła. Nianawiść jego do łacinników z czasem do tego stopnia się wzmogła, że nakazał pozamykać kościoły i klasztory łacińskie, znajdujące się w Konstantynopolu, i wznowił błędy Focyusza o pochodzeniu Ducha świętego, dodając wiele innych drobnostkowych i śmiesznych zarzutów przeciwko łacinnikom, naprzykład, że poszczą w sobotę, że do mszy używają opłatków, a nie chleba kwaszonego, i tym podobne.

Papież Leon IX, skoro się dowiedział o postępowaniu Cerularyusza i jego błędach, w obszernym liście odparł wszystkie jego zarzuty i wyprawił swych posłów do Konstantynopola, aby upartego patryarchę przywiedli do porzucenia błędnej nauki i do posłuszeństwa Stolicy świętego Piotra. Cesarz grecki z honorami przyjął posłów Ojca świętego, Cerularyusz jednak nie chciał wchodzić w żadne z nimi porozumienie i trwał w uporze. Widząc, że patryarchy nie da się sprowadzić z drogi, na którą wstąpił, legaci papiescy wobec duchowieństwa i ludu złożyli na ołtarzu w kościele świętej Zofii dokument z klątwą na patryarchę Cerularyusza i wszystkich, co śmieją przyganiać nauce Kościoła Rzymskiego. Działo się to dnia 16 lipca 1054 r., który to dzień uważany jest odtąd, jako dzień ostatecznego oderwania się Greków od jedności z Kościołem. Cerularyusz zawrzał gniewem przeciwko posłom papieskim i podburzył przeciwko nim tłumy ciemnego ludu, tak, iż pomimo opieki cesarskiej, czemprędzej ze stolicy uchodzić musieli. Cerularyusza dosięgła kara Boża, bo gdy pycha jego wzrosła do tego stopnia, że zaczął występować przeciwko cesarzowi i nosić cesarskie oznaki, został na rozkaz cesarza uwięziony i skazany na wygnanie, gdzie też umarł, tak jak i Focyusz, w niepokucie roku 1059.

Chociaż upadł Cerularuysz, nie upadła z nim razem schyzma grecka Cały prawie Wschód, przez dwieście blizko lat obałamucany fałszywą nauką Focyusza, na dobre pogrążył się w błędach i schyzmatyckim uporze. Wprawdzie nieraz jeszcze papieże rzymscy wyciągali dłoń do zgody, nieraz sami cesarze greccy widzieli swój interes w pojednaniu się z Kościołem Rzymskim. Roku 1274 na soborze powszechnym w Lugdunie formalnie przystąpili Grecy do jedności, to jest do Unii [1]) z Rzymem, ale te wszyttkie próby pojednania, nie tyle z przekonania, jak raczej z rachub ludzkich podjęte, nigdy nie były trwałe. Do wspaniałej Unii doszło w piętnastym wieku na soborze we Florencyi, ale o tem zdarzeniu będzie mowa niżej.

Grecya, pozbywszy się prawdziwej wiary, poczuła wkrótce karę Bożą. Dzikie tłumy muzułmanów zalały powoli całe państwo i sprowadziły całkowity jego upadek. I tam, gdzie niegdyś rozbrzmiewała chwała Boża, w kościołach i wspaniałych bazylikach, rozsiedli się czciciele fałszywego proroka Mahometa. Dumni patryarchowie greccy, nie chcąc słuchać ojcowskich rządów papieży rzymskich; przeszli pod twarde jarzmo swoich cesarzy, a po upadku państwa stali się pokornymi służkami tureckiego sułtana i żon jego. Z dawnej świetności Konstantynopola pozostało tylko wspomnienie, gdy tymczasem Rzym rozpościera dotąd swoje duchowne panowanie na najdalsze kresy ziemi.

W tym samym, mniej więcej, czasie, kiedy odszczepieniec Focyusz rozdzierał jedność Kościoła Bożego, zajaśniały dwie wspaniałe postacie chrześcijaństwa: Cyryl i Metody. Byli oni rodzonymi braćmi, z pochodzenia grekami, rodem z miasta Tessaloniki. Metody był najstarszym w swem rodzeństwie synem, Cyryl, a właściwie Konstantyn, bo takie było jego imię chrzestne, był najmłodszym pomiędzy braćmi. Konstantyn przyszedł na świat roku 826, Metody o kilka lat wcześniej.

Podczas gdy Metody, wstąpiwszy do służby rządowej, został gubernatorem pewnej prowincyi, zamieszkałej przez Słowian, brat jego Konstantyn odbywał w Konstatynopolu nauki, w których tak postąpił, że należał do najuczeńszych w swoim czasie ludzi i cieszył się przychylnością i przyjaźnią samego casarza. Poznał na dworze greckim i owego słynnego Focyusza i czas pewien przyjaźnił się z nim, ale gdy ten począł dokuczać świętemu Ignacemu, przepowiedział Konstantyn Focyuszowi, że nauką swoją przy takiej przewrotności charakteru wiele umysłów zamąci i wielką odpowiedzialność przed Bogiem na siebie ściągnie;

---

[1]) Unia, wyraz łaciński, znaczy tyleż, co zjednoczenie, połączenie. Unitą więc nazywa się każdy chrześcijanin wschodniego obrządku, połączony z prawdziwym kościołem, a odłączeni od niego, czyli schyzmatycy, nazywają się dyzunitami.

poczem zerwał wszelkie z nim stosunki. Powoli sprzykrzyli sobie Metody służbę rządową, a Konstantyn życie na dworze cesarskim wśród przewrotnych ludzi i obaj udali się do klasztoru, aby życie swe poświęcić modlitwie i nauce. Tam, pokochawszy się jeszcze bardziej, zaprzysięgli sobie bracia, że nie rozdzielą się nigdy, ani w złej, ani w dobrej doli, ani w radości, ani w smutku.

Roku 857 przybyło do Konstantynopola poselstwo od Chazarów, ludu o mieszanej żydowsko-mahometańskiej religii, mieszkającego nad morzem Azowskiem, gdzie dzisiaj dońscy kozacy: Chazarowie prosili greckiego cesarza o uczonego misyonarza, któryby ich zapoznał z religią chrześcijańską. Na tę misyę cesarz wybrał naszego Konstantego, a on uradowany, że imię Jezusa może rozgłaszać między niewiernymi, przybrał za towarzysza podróży brata Metodego i obaj puścili się w drogę.

W drodze zatrzymali się w mieście Chersonesie, które znajdowało się w okolicach dzisiejszego Sebastopola w Krymie. W tem to mieście żył niegdyś na wygnaniu trzeci następca świętego Piotra i uczeń jego, święty Klemens, papież rzymski, w tem mieście poniósł śmierć męczeńską przez utopienie w morzu i tam był przez chrześcijan pochowany. Konstatyn zajął się pilnie odszukaniem relikwii świętego Klemensa, co mu się rzeczywiście udało, albowiem na małej zatopionej wysepce odnalazł grób świętego, w którym znajdowały się kości jego i kotwica, do której był przywiązany przy utopieniu. Złożywszy tymczasowo w kościele te drogie skarby, ruszyli święci bracia dalej do Chazarów, gdzie odbyli nie mało rozpraw z żydami i mahometanami, wiele rodzin do wiary świętej przywiedli i dla chrześcijan wolność religijną wyrobili. Wracając stamtąd zabrali i relikwie świętego Klemensa.

Gdy stanęli z powrotem w greckiej stolicy, zastali wielkie zgorszenie: na stolicy patryarchalnej już siedział nieprawnie Focyusz, a święty Ignacy jęczał w okowach. Zaboleli nad takim stanem Kościoła, lecz, jako prości zakonnicy, nie mogąc naprawić złego, usunęli się znowu do klasztornego zacisza. Niedługo jednak potem miał ich Bóg wyprowadzić na szerokie pole pracy wśród ludów słowiańskich.

Ze wszystkich państw słowiańskich najpotężniejszem było królestwo Wielkiej Morawii. Rozciągało się ono od Dunaju aż prawie do gór Karpackich, obejmując wiele krajów dzisiejszych Austro-Węgier. Na początku dziewiątego wieku państwo to było już prawie całe chrześcijańskiem i posiadało wielką liczbę kościołów, zależnych od biskupów niemieckich. Duchowieństwa jednak, które nawróciło Słowian do wiary świętej, nie lubili Morawianie, gdyż księża owi, niemcy z pochodzenia, całe państwo chcieli uważać za podległe swemu cesarzowi, a przytem troszczyli się więcej o własne dostatki, aniżeli o dobro i naukę

swoich owieczek. Dlatego książę Wielkiej Morawii, Rościsław, wyprawił poselstwo do Konstantynopola z prośbą o takich kapłanów-misyonarzy, którzyby mogli lud mu poddany nauczać w rodzimym języku i wykształcić krajowe duchowieństwo. Oczy cesarza zwróciły się znowu na naszych dwóch braci, Konstatego i Metodego, którzy też, zabrawszy ze sobą kości świętego Klemensa, udali się na pracę apostolską między Słowianami.

Największą trudnością w nauczaniu Słowian to było, że nie mieli oni żadnych własnych ksiąg, ani nawet swojego pisma, to jest liter, a litery greckie, ani łacińskie nie nadawały się do języka słowiańskiego. Aby zaradzić temu brakowi, Konstantyn po wielu modlitwach utworzył odrębnego kształtu litery słowiańskie, zwane dzisiaj „głagolicą" i tem pismem począł tłómaczyć na język słowiański biblię i książki do nabożeństwa [1]).

Mszę świętą odprawiali święci nasi bracia w języku słowiańskim, ale najprawdopodobniej nie w obrządku wschodnim, tylko zachodnim, rzymskim, którym posługiwano się powszechnie w Morawii. Nabożeństwa, odprawiane w zrozumiałym języku, niezmiernie pociągały morawian do kościoła; gorliwą pracą misyjną, a zwłaszcza nauczaniem młodzieży dwaj misyonarze pozyskali sobie serca mieszkańców, na co księża niemieccy zazdrosnem spoglądali okiem.

Gdy wieść o pracach apostolskich tych dwóch mężów doszła do Ojca świętego w Rzymie, zapragnął on widzieć ich u siebie, by się przekonać, czy czasem nie są wysłańcami i zwolennikami wyklętego już wtedy Focyusza. Święci posłuchali wezwania papieża i w otoczeniu kilkunastu swych uczniów, przygotowanych do święceń kapłańskich, wioząc ze sobą relikwie świętego Klemensa, zbliżali się powoli ku Rzymowi. Tymczasem papież Mikołaj, który ich wezwał był po Rzymu, rozstał się z tym światem. Następca jego Adryan II, na wiadomość, że przybywający z daleka misyonarze wiozą zwłoki świętego Klemensa, papieża, na czele duchowieństwa i licznych tłumów ludu, sam wyszedł naprzeciw naszym świętym i wprowadził ich do wiecznego miasta, przy odgłosie dzwonów, pieśni i wśród powszechnej radości. Relikwie złożone zostały w kościele, dawniej zbudowanym na cześć świętego Klemensa.

Święci bracia, skoro zdali papieżowi sprawę ze swoich prac apostolskich, uzyskali jego pochwałę i pozwolenie na używanie języka słowiańskiego we mszy świętej.

---

[1]) Pismo, wynalezione przez Konstantego, nie jest to samo, którem Rusini i Rosyanie piszą cerkiewne księgi i które nazywają niewłaściwie „kirylicą". Ta niby kirylica zapożyczoną została od Greków daleko później. Pismem, wynalezionem przez świętego Cyryla, jest głagolica, której używają jeszcze teraz Kroaci i Dalmatyńcy nad morzem Adryatyckiem.

Skoro się przekonano w Rzymie o silnem przywiązaniu obydwóch misyonarzy do świętej katolickiej wiary i stolicy Piotrowej i o pożytkach ich pracy między Słowianami, papież obdarzył Konstantyna i Metodego godnością biskupią, uczniów zaś ich, których ze sobą przywieźli, poświęcono na kapłanów i dyakonów. Przy konsekracyi biskupiej Konstantyn zmienił swe imię na imię Cyryla i odtąd ten święty pod tem imieniem jest znany i czczony na całej ziemi. Święci bracia, zostawszy biskupami, odprawiali mszę świętą po słowiańsku w samym nawet Rzymie, a księgi przez nich napisane papież złożył na ołtarzu swego kościoła na znak, że są prawowierne, katolickie.

W kilka tygodni po swem wyświęceniu Cyryl ciężko zachorował, a czując się blizkim śmierci, rzekł do swego brata Metodego: „Oto, bracie, byliśmy sobie wiernymi towarzyszami, jako jeden zaprząg, orzący jedną i tą samą skibę. Ja skończyłem dzień mojej pracy i upadam na łanie... ty nie opuszczaj rozpoczętego dzieła, bo w niem twoje zbawienie". Umarł roku 869. Metody chciał zabrać ze sobą ciało swego brata, ale papież, duchowieństwo i lud rzymski prosili go, aby te święte szczątki pozostały w Rzymie, gdzie je też złożono w kościele świętego Klemensa i tam licznemi zasłynęły cudami.

Metody, jako biskup z ramienia Ojca świętego, wracał do swych owieczek. Z powodu jednak wielkich zamieszek wojennych w Morawii, nie mógł się do niej udać, ale zatrzymał się w sąsiedniej Pannonii, gdzie ludność z zapałem witała jego słowiańskie nabożeństwa. W rok później był znowu święty Metody w Rzymie, aby za staraniem księcia Kocela otrzymać od Ojca świętego godność arcybiskupią. I rzeczywiście papież poddał pod jego duchowną władzę całą Pannonię i Morawię. Kapłanów miejscowego pochodzenia mnożyło się coraz więcej, stąd księża niemieccy nie byli już potrzebni w tych krajach. Wzbudziło to taką nienawiść niemców przeciwko świętemu Metodemu, że ich biskupi powołali go przed swój sąd, oskarżając, że samowolnie wprowadza do służby Bożej język słowiański i nowo wymyślone litery, i chociaż święty bronił się, iż wszystko działał za pozwoleniem papieskiem, nienawistni niemcy skazali go na wygnanie.

Ujął się za niewinnie prześladowanym Metodym sam papież Jan VIII i mocno zgromił postępowanie biskupów niemieckich, lecz i to nie uspokoiło ich nienawiści, skoro w krótkim czasie donieśli do Rzymu kłamliwie, że Metody rozsiewa błędne nauki greckich schyzmatyków.

Aby całą tę sprawę ostatecznie rozpatrzyć i osądzić, kto ma słuszność, Metody czy biskupi niemieccy, Ojciec święty wezwał ponownie Metodego do Rzymu. Wydały się oszczerstwa jego nieprzyjaciół. Metody bowiem wobec Ojca świętego złożył wyznanie wiary katolickiej, oświadczył, że mocno wierzy we wszystko, czego naucza Kościół Rzym-

ski, nie wyjmując artykułu o pochodzeniu Ducha świętego od Ojca i Syna, czem dostatecznie pokazał, że nauka jego nie ma nic wspólnego z błędami Focyusza.

Tak zwyciężywszy swych wrogów, wraca z tryumfem do swojej owczarni, opatrzony listem papieża do króla morawskiego, Świętopełka. W liście tym zapewnia Ojciec święty, że Metody jest prawowiernym we wszystkiem i dlatego nakazuje słuchać go, jako prawego pasterza. Ucichły więc spory z niemcami. Wprawdzie wichrzył jeszcze przeciwko arcybiskupowi podległy mu biskup nitrzański, Wiching, fałszując nawet w tym celu listy papieskie, ale skoro został obłożony za to klątwą kościelną, nastały spokojniejsze dla świętego Metodego czasy. Użył też owego spokoju jak najlepiej na chwałę Bożą. Rządząc mądrze swą rozległą metropolią w potężnem państwie Świętopełka, budował kościoły, uczył i wychowywał słowiańskich księży, otwierał szkoły. Z okazyi jakiegoś zjazdu książąt ochrzcił czeskiego księcia Borzywoja i przyczynił się do nawrócenia pewnego książęcia polskiego z Wiślicy. Po wielu trudach i cierpieniach odwołał Pan Bóg świętego Metodego po nagrodę wieczną roku 885. Zaleciwszy ucznia swego Gorazda na następcę po sobie, skonał na rękach swych kapłanów. Pogrzebowe nabożeństwo odbyło się w trzech językach: łacińskim, bo Metody był wiernym synem Kościoła Rzymskiego, greckim, bo z Greków pochodził i słowiańskim, bo w tym języku on pierwszy służbę Bożą sprawować począł. Ciało świętego Metodego spoczywa dotąd w katolickim kościele w Welehradzie na Morawach.

W kilkanaście lat po błogosławionej śmierci świętego Metodego wielkie klęski spadły na Morawię. Wojny z Niemcami i napady nieochrzczonych jeszcze Węgrów zniszczyły zupełnie kraj i poganie zalali całą morawską ziemię. Gdy się potem Węgrzy nawrócili do wiary świętej, już ją przyjęli z obrządkiem łacińskim: tym więc sposobem z kościoła świętego Metodego i słowiańskiej liturgii pozostały tylko szczątki w Dalmacyi i Kroacyi. Uczniowie zaś jego, uchodząc przed prześladowaniem, rozproszyli się po świecie: niektórzy z nich przyczynili się do ugruntowania wiary świętej w Bułgaryi, która jednak wkrótce do schyzmy się przechyliła. Nie zaginęła jednak pamięć prac świętych Cyryla i Metodego. Żyli oni we wdzięcznych sercach słowiańskich ludów, a w tysiąc lat po śmieci Metodego, roku 1885, Ojciec święty Leon XIII papież, aby uprosić u Boga nawrócenie Słowian schyzmatyków, rozkazał czcić pamiątkę słowiańskich apostołów po całej ziemi przez coroczne pacierze kapłańskie i mszę świętą. Święto Cyryla i Metodego obchodzi się w Kościele katolickim dnia 7 lipca.

(D. c. n.)

W KRAINIE GWIAZD

Pogadanki z dziedziny astronomii.

Planety.

Nasz system słoneczny liczy 8 planet wielkich, a przeszło 400 małych. Te ostatnie zwane Asteroidami lub Planetoidami, są bardzo małemi ciałami, których średnica waha się między 10 a 400 km.; cała zaś masa ich wynosi zaledwie $^1/_{4000}$ część masy naszej ziemi. W zamieszczonej tablicy podajemy planety w porządku ich odległości od słońca.

Tablica planet.

Nazwa i znak symboliczny planety	Średnica odległości od słońca w milach	Czas obiegu	Czas obrotu około osi	Średnica w milach
Merkury	8 milionów	88 dni	88 dni	644
Wenus	$14\frac{1}{2}$,,	224 ,,	—	1700
Ziemia	20 ,,	365 ,,	24 godziny	1718,9
Mars	31 ,,	1 rok 321 dni	24 ,,	900
Asteroidy	60 ,,	$3\frac{1}{4}$—$5\frac{3}{5}$ lat	—	—
Jowisz	104 ,,	11 lat 314 dni	9 godz. 55 min.	19400
Saturn	192 ,,	29 ,, 166 ,,	$10\frac{1}{2}$ godzin	16000
Uran	386 ,,	84 ,, 7 ,,	—	7600
Neptun	620 ,,	164 ,, 285 ,,	—	7800

Wszystkie planety prócz Merkurego, Wenus i Planetoidów posiadają jednego lub kilka księżyców, które łącznie z ich wymiarami podajemy poniżej:

Tablica księżyców planet.

Księżyc	Towarzysz	Czas obiegu	Odległość od głównej planety w milach	Średnica w milach	Widzialny
Księżyc	Ziemi	37 dni 7 godz.	51800	467	
Fobos	Marsa	30 godz. 14 min.	2569	—	Widzialny tylko przez najlepsze lunety
Dajmos	„	7 „ 38 „	717	—	
I	Jowisza	1 dzień 18 g.	58294	509	Łatwo przez małą lunetę
II	„	3 dni 13 godz.	89800	475	
III	„	7 „ 3 „	143300	746	
IV	„	16 „ 16 „	251700	639	
V	„	—	—	—	
Mimas	Saturna	22 godzin	24800	—	Tylko dobrym teleskopem
Encelad	„	1 dzień 8 godz.	31900	—	
Thetys	„	1 „ 21 „	39500	—	
Dione	„	2 dni 17 godz.	50900	—	
Rhea	„	4 „ 12 „	70500	—	
Tytan	„	15 „ 22 „	177200	—	
Hyperion	„	21 „ 6 „	199600	—	
Japet	„	79 „ 7 „	466900	—	
Ariel	Urana	2 „ 12 „	27700	—	
Umbriel	„	4 „ 3 „	38500	—	Bardzo trudno
Tytania	„	8 „ 16 „	63100	—	
Oberon	„	13 „ 11 „	84100	—	
Księżyc	Neptuna	5 „ 21 „	47500	—	

Oprócz wymienienych ośmiu księżyców Saturna, odkryto niedawno jeszcze dziewiątego. Merkury i Wenus są gwiazdami wieczornemi i porannemi, to znaczy, niedługo po słońcu wschodzą lub zachodzą; dzieje się to wskutek tego, że obydwie poruszają się około słońca wewnątrz drogi ziemi. Merkury wskutek blizkości słońca jest trudny do rozpoznania, ginie bowiem zazwyczaj w blasku promieni słonecznych. Wenus natomiast błyszczy całemi godzinami wieczorem lub rano, jako najjaśniejsza gwiazda w zachodniej lub wschodniej stronie nieba. Przez

lunetę łatwo można zobaczyć jej odmiany, podobne zupełnie do księżyca, a więc czwartą część tarczy, pół i całą tarczę.

W nowszych czasach odkryto planetę Eros, którego droga leży częściowo między ziemią a Marsem, częścią zaś między Marsem a Jowiszem, co upoważnia do przypuszczenia, że jest on jednym z rozprószonych Planetoidów.

Bieg planet obserwowany z ziemi wydaje się na pozór bardzo bezładnym. Raz widzimy planetę posuwającego się na zachód, to znowu na wschód, raz prędzej, drugi raz wolniej, niekiedy nawet zatrzymującego się w jednem miejscu. Ruchy te wydawały się bardzo nieregularnymi i próżno najlepsi astronomowie dawniejszych czasów starali się rozwiązać tę zagadkę. Potrzeba było kilkunastu wieków wytrwałej pracy najlepszych umysłów ludzkich, aby wreszcie tę tajemnicę rozświetlić. Pierwsze trudności usunął Kopernik, podając swój układ świata, który w zasadniczych podstawach utrzymał się do naszych dni. Skoro odkryto, że ziemia nie jest owym środkiem świata, ale razem z innemi planetami biegnie około słońca, wytłómaczono sobie ten pozorny chaos w ruchach planet. Wtedy zrozumiano, że stanowisko, z jakiego my ruchy planet obserwujemy, zmienia również swoje położenie. Dalsze szczegóły w systemie Kopernika — uzupełniono później; szczególnie ważnem odkryciem były prawa Keplera o drogach planet i ich wzajemnem oddziaływaniu na siebie. Powszechnie znane trzy prawa Keplera są następujące:

1. Planety poruszają się około słońca po elipsach (to jest mniej lub więcej wydłużonych kołach), w których ognisku znajduje się to ostatnie. Każda więc planeta nie pozostaje w jednakowej odległości od słońca, ale zależnie od położenia, jakie zajmuje, oddala się od niego mniej lub więcej.

2. Pomyślana linia, łącząca punkt środkowy słońca i planety, czyli tak zwany promień przewodni, przebiega w równych czasach równe powierzchnie, przestrzenie.

3. Kwadraty czasów obiegu dwu planet znajdują się w stosunku trzecich potęg ich średnich odległości od słońca. Prawo to przedstawia nam wzajemne zależności planet między sobą i wskazuje, że szybkości obiegów nie są jednakowe, lecz zmniejszają się w miarę odległości od słońca.

Znając już bieg planet około słońca, szukano przyczyny wyjaśniającej te ruchy i utrzymującej to wszystko w wzorowym porządku. Przyczynę niedługo wyjaśnił Newton działaniem powszechnego ciążenia. Podobnie jak ziemia przyciąga wyrzucony kamień, tak samo wzajemnie przyciągają się wszystkie ciała i to tem większa jest siła przyciągania, im większą jest masa danego ciała. Wszystkie więc planety przycią-

gają się wzajemnie, słońce zaś, jako największe, przyciąga wszystkie. Dlaczego w takim razie nie runą na nie wszystkie? Na to nie pozwala im znów siła odśrodkowa, to jest ta dążność, jaką posiada każde ciało obracające się do oddalania się od punktu, około którego się obraca. Księżyc więc, gdyby go ziemia nie przyciągała, umknąłby gdzieś w przestrzeń, gdyby go zaś wstrzymała w jego ruchu wirowym jakaś siła, runąłby wprost na ziemię.

Te dwa działania: ruch własny i przyciąganie wzajemne planet, kierują w zadziwiającej zgodzie całym naszym systemem, wyznaczając każdemu z jego członków drogę w wszechświecie. Działanie tych wszystkich ciał jest wzajemne, oddziaływanie wszakże planet na słońce niknie prawie w porównaniu z wpływem tego ostatniego, jako masy bardzo wielkiej, na planety. Znając masy i odległości wzajemne planet, astronom wyliczyć może za pomocą rachunku drogi ich, a prawdziwość potwierdza obserwacya. Jeżeli zaś zachodzi jakaś niezgodność, to wynika to tylko z wpływu nieznanej jakiejś bryły, której istnienie zazwyczaj wykrywa się później. Taką drogą teoretyczną wykryto planetę Neptuna. W tej właśnie umiejętności przepowiadania już naprzód pewnych zjawisk leży trwałość i słuszność dzisiejszych poglądów astronomicznych.

(D. c. n.)

Opracował *Antoni L-ka.*



Modlitwa o nawrócenie Kozłowitów.

Bądź pozdrowiona, bez zmazy poczęta,
Sama przeczysta i niepokalana,
Bądź pozdrowiona o, Maryo Święta,
O, Matko Pana!

Ach! niema świętszej istoty nad Ciebie,
Niema piękności tak wielkiej i czystej,
Ty po nad świętych królujesz na niebie,
W chwale wieczystej.

Nad Tobą tylko Bóg Stwórca jedyny,
Co z Tobą własną swą się chwałą dzieli,
Pod Tobą wszyscy na ziemi tej syny,
W niebie Anieli.

Królowo chwały, której światłość świeci
Na smutnej ziemi i w rozkosznym raju,
Skarga bolesna do Ciebie dziś leci
Z naszego kraju.

Skarga to straszna, aż piersi rozsadza,
Dreszczem przenika serca kochające,
W jakiż to obłęd piekło dziś wprowadza
Ludzi tysiące?...

O, Matko! Matko! Ty wiesz o co chodzi,
Jaką boleścią tchną serca Twych dzieci,
Nowe nieszczęście na ten świat przychodzi
W biegu stuleci.

Ach! to nieszczęście gorsze, niż niewola,
Niż ciężar kajdan, ucisk naszych braci;
Bo tamta ciało, a nowa niedola
Dusze zatraci

I nam to przyszło, nam, dzieciom Twym, Pani,
Patrzeć, jak błędów wylęga się żmija,
Herezya [1]) nędzna ciągnie do otchłani,
Dusze zabija.

Szatańskie dzieło, — niewiasta grzesznica,
Śmie się porównać, o, Niepokalana!
Z Tobą, coś Święta, coś Bogarodzica,
Coś Matka Pana!

I śmie ktoś głosić czystość równą Tobie,
I śmie ktoś bluźnić, że wśród nas, nędzarzy,
Taka się świętość ku ludzkiej ozdobie,
Jak Twoja zdarzy?

O, nie! przenigdy! tego być nie może!
My Cię wyznajem Świętą nad Świętemi,
Przed Tobą czoła chylimy w pokorze
Królowo ziemi!

Gdy się złość ludzka, złość szatańska szerzy,
Bluźnierstwem usta plamią się, kalają,
Serca te, z których skarga idzie k' Tobie,
Hołd Ci składają.

Ach! i to właśnie na tej polskiej ziemi,
Co Cię Królową obrała, Maryo!
Zbrodnia, tak straszna zbrodnia się korzeni
I lud zabija.

---

[1]) Kozłowitów, czyli Maryawitów.



Jego Ekscelencya ks. Arcybiskup Teodorowicz na Jasnej-Górze w Częstochowie.
(fot. „Dzwonka Częstochowskiego.“)

O! na ratunek przybądź, Matko Boska,
Nim gniewu Pana karzący miecz zleci,
Pośpiesz z pomocą, Pani Częstochowska,
Ratuj swe dzieci!

Przybądź z Twą zemstą, pomścij imię Twoje,
Pomścij Swą chwałę o, Niepokalana!
Wszakże potęga i moc w ręce Twoje
Nad nami dana.

Pomścij, lecz Matko, pomścij po swojemu;
Wszak my Cię znamy, litości Królowo!
Więc powróć wiarę ludowi biednemu,
Daj łaskę nową!

Okaż Swą dobroć — rozświeć serc ciemności,
Zniszcz błędów zbrodnię skinieniem Twej dłoni,
Niech się znów złączym w pokoju jedności,
Unikniem toni.

Na chwałę większą niech Bogu naszemu
Wyjdzie to, co Go dziś srodze znieważa,
Niech czci należnej imieniowi Twemu
Nikt nie obraża!

Jako tonący wśród zburzonej fali,
Do Ciebie ręce podnosim i oczy,
Serce boleścią ściśnione się żali,
A wzrok łza mroczy...

I Ty, tak czuła na płacz Twoich dzieci,
Pociesz nas, Maryo, w tej ciężkiej boleści,
Niech światło wiary jaśniej nam zaświeci
I błąd zaginie bez wieści!...





Dostojny gość. Wśród licznego szeregu znakomitych pątników, którzy w różnych czasach odwiedzali Jasną-Górę dla oddania czci i hołdu Bogarodzicy Dziewicy, wyróżnia się przybycie w dniu 23 czerwca Jego Ekscelencyi Arcybiskupa obrządku ormiańskiego ks. Teodorowicza. Dostojny gość, w dniu 24 i 25 czerwca, odprawił przed cudownym obrazem Mszę świętą, a przytem szczegółowo zwiedzał Jasną-Górę. Pełen zapału dla świętej sprawy umacniania wiernych w wierze Chrystusowej, gorąco przemówił do pątników parafii białostockiej i licznej, wielotysiącznej rzeszy wiernych zebranych u szczytu kaplicy Matki Boskiej na wałach.

Ojciec Jenerał zakonu Paulinów podczas obiadu, w refektarzu klasztornym, wniósł toast za pomyślność Dostojnego Gościa, dziękując Mu w imieniu całego zakonu za przybycie na to miejsce, pełne cudów i łask obficie spływajacych tu za przyczyną Matki Najświętszej. Ks. Arcybiskup nieomieszkał wyrazić Ojcu Jenerałowi uznania za pracę podjętą i energicznie prowadzoną ku ozdobie i uświetnieniu tego miejsca, drogiego wszystkim, którzy miłują Kościół i ojczyznę. Potem w imieniu wszystkich pracowników na niwie literackiej i dziennikarskiej w Częstochowie, ks. Józef Adamczyk redaktor „Dzwonka Częstochowskiego“, jako najstarszy przedstawiciel tutejszej prasy, wyraził Najdostojniejszemu Arcybiskupowi słowa wielkiej wdzięczności za te dyrektywy, jakie dał nam na zjeździe dziennikarzy w Warszawie, do pracy dla wiary Chrystusowej i ojczyzny.

W końcu przemówił do znakomitego Gościa, gdy z kolei tenże skończył swą mowę, p. rejent Małkowski w imieniu miejscowych obywateli w te słowa:

„Przemawiać po Arcypasterzu jest może zuchwalstwem z mej strony, ale Jego Ekscelencya mi wybaczy, a wy, Ojcowie Paulini, jako swego przyjaciela wysłuchać raczycie!

W życiu każdego narodu zdarzają się chwile znamienne, decydujące o kierunkach myśli i ducha, które tak, jak czyn dobry, owocne mają następstwa. Znamiennem takiem zdarzeniem był zjazd katolickich dziennikarzy i pisarzy, a dobrym czynem był udział w nim najdostojniejszego Arcypasterza. — Wskazówki dane i nakreślone mądrze kierunki, stanęły jak drogowskaz wśród manowców, po których kroczymy. We wszystkich sprawach w ogóle, w polityce, sprawach społecznych, jako i w dziedzinie religijnej i duchowej panuje i obecnie pewien zamęt, co więcej nieporozumienie, które często nas dzieli, wyradza zawiść i zwalczanie się sprzecznych kierunków. Jest to jednak objaw naturalny, który smucić lub odbierać nadziei lepszej przyszłości nie powinien. Ludzi długo w ciemności pozostających, skoro na świat Boży wyjdą, razi światło, mroczą się im oczy tak, że nie mogą rozpoznawać kolorów — rzeczy widzianych prawdziwie oeniać.

Arcypasterz wykładał nam, że w sferze religijnej w dziedzinie Kościoła należy tych rozbieżnych kierunków unikać, że nie idzie o sztandar, mogący czasami mierną pokrywać robotę, ale o samą robotę, którą należy prowadzić w duchu katolickiej idei, w duchu światła i postępu. W tej robocie należy mieć za hasło: że ten, kto z nami nie idzie, wrogiem nie jest, ale że kto nie jest nam przeciwny, jest z nami, że wreszcie pamiętać musimy, że pracę religijną i kulturalną tak prowadzić należy, ażeby ona czasami nie wnosiła rozdziału tam, gdzie mogłaby godzić i jednoczyć. W imię tych haseł, pracując dla urzeczywistnienia idei katolickiej będziemy pomnażali chwałę Bożą i pożytek sprowadzimy dla kraju.

Niechaj mi Wasza Ekscelencya wybaczy, że Jego myśli powtarzam, skądże jednak mam czerpać, jak nie z tej skarbnicy ducha i myśli, którąś nam tak szeroko otworzył, jak nie z tych klejnotów wymowy, któremiś nas tak szczodrze obdarzył? Jako reprezentantowi cywilnej miasta tego ludności, przywiązanej do wiary przodków, niechaj mi wolno będzie za złote myśli, za dobre i przepiękne słowa, zawierające zbawienny dla pracy naszej kierunek złożyć Ci, Najczcigodniejszy Arcypasterzu, hołd uznania i wierności".

We wtorek, 25 czerwca, pociągiem południowym ks. Arcybiskup, żegnany owacyjnie przez wszystkie stany odjechał z Częstochowy, odprowadzony do Granicy przez ks. redaktora „Dzwonka Częstochowskiego" Józefa Adamczyka i ks. prefekta Sędzimira. Cenne przymioty, jak: wysokie wykształcenie, głęboki rozum, pełne prostoty i serdeczności obejście, wykwintne formy towarzyskie, połączone w harmonijną całość

w osobie ks. Arcybiskupa Teodorowicza, wzbudziły dla Niego cześć głęboką i pociągnęły serca wszystkich, którzy mieli szczęście zbliżyć się do Niego.

Gość z Ameryki. W dniu 28 zeszłego miesiąca powitaliśmy w Częstochowie p. Stanisława Szwajkarta, wydawcę „Dziennika Chicagoskiego“ który przybył do Warszawy na zjazd dziennikarzy i pisarzy katolickich, jako przedstawiciel prasy polskiej w Ameryce. Zacny gość z pobożnym zachwytem zwiedził Jasną-Górę.



P. Stanisław Szwajkart,
wydawca „Dziennika Chicagowskiego“.
(fot. „Dzwonka Częstochowskiego“).

Kompania z Żychlina. Po latach 40 niebytności w Częstochowie, dnia 22 czerwca przybyła kompania, złożona z 800 osób z Żychlina, gubernii warszawskiej, pod przewodnictwem ks. Wikarego Ożarowskiego i kleryka Żuchowskiego. Pątnicy, między którymi była duża liczba robotników z „Dobrzelina“ i „Walentów“ przybyli na podziękowanie Matce Boskiej Częstochowskiej za otrzymane błogosławieństwa i na uproszenie wytrwałości w pracy i przywiązanie do wiary ojców. Miło nam zaznaczyć i przedstawić pątników żychlińskich za przykład innym parafianom za ich posłuszeństwo, uległość serdeczną dla swoich duszpasterzy. Kompanii towarzyszyła orkiestra z cukrowni „Walentów“, składająca się z 20 osób.



List z Chocima. Czytałem tu i owdzie o zbrodniczych i świętokradzkich wypadkach okradania świątyń, lecz nigdy na szczęście nie byłem świadkiem podobnych zbrodni, za co Bogu gorąco dziękowałem.

Aż uderzył i we mnie cios bolesny.

Oto zbrodnicza ręka świętokradcy targnęła się na ograbienie powierzonego mej pieczy kościoła parafialnego w mieście Chocimie, gub. besarabskiej. Dnia 26 maja star. stylu, w sobotę rano, o godzinie siódmej, zwyczajem swoim, udałem się do kościoła dla odprawienia Mszy świętej. Ze zgrozą spostrzegłem drzwi do zakrystyi porozbijane i zamek oderwany, śpieszę dalej w głąb kościoła, aby się przekonać jakiego świętokradztwa dokonał zbrodniarz, otwieram najprzód cyboryum, patrzę, czy jest puszka z Najświętszym Sakramentem. Zapewne Matka Boska, do której lud biedny garnie się w maju codziennie na nabożeństwo majowe, obroniła od tej wielkiej zbrodni świętokradztwa i plugawych rąk zbrodniarza, bo puszka z komunikantami świętemi nietkniętą pozostała. Nadmienić tu należy, że jest to najcenniejsze z naczyń świętego kościoła w Chocimie, bo puszka ta dość duża, srebrna, jest darem żołnierzy katolików modlińskiego pułku z sześćdziesiątych lat, z napisem: „na pamiątkę". Następnie dalej na kościele leżały trzy rozbite skarbonki, naturalnie, próżne: jedna na korzyść czerwonego krzyża, druga na korzyść tonących na wodach, a trzecia na świętopietrze; zawartość z nich wyjmowaną była przed Nowym Rokiem, ile tam mogło być teraz pieniędzy, niewiadomo, może mniej więcej około 10 rubli; czwartej skarbonki widocznie zbrodniarz w kruchcie nie zauważył. Oprócz tego zabrano kielich z pateną metalowy, frażetowski, pozłacany, wartości 20 tu rubli. Więcej, dzięki Bogu, nic nie skradziono, a może w popłochu i nie zauważono kilku srebrnych lichtarzy małych. Bóg miłosierny nie dopuścił, aby zbrodniarz ogołocił ze wszystkiego

nasz biedny kościołek chocimski, który latami całemi dochodził do zaopatrzenia się w niezbędne przedmioty.

Jestem tu w tej parafii lat przeszło ośm i wstyd mię, ale wyznać jestem obowiązany przed opinią publiczną, że poszczycić się nie mogę niektórymi z moich parafian, którzy się mienią być Polakami, ba, nawet katolikami, lecz przez cały ten czas nigdy ich w kościele nie widziano, a uwzględniając nawet przestrzenie, które ich dzielą od kościoła, bo wiedzieć należy, że parafia chocimska obejmuje wszystkich katolików, rozsianych i zamieszkałych po całym chocimskim powiecie, powinni wiedzieć z przykazań kościelnych, że przynajmniej raz do roku obowiązani są przybyć do parafialnego kościoła, choćby dla odbycia spowiedzi wielkanocnej. Co się zaś tyczy spełniania innych praktyk religijnych, jak odmawiania pacierza, obserwowania postów, święcenia dni niedzielnych i uroczystych w roku, to o tem już i mowy niema — a jakie życie domowe i społeczne, to można się już domyślać. I tacy to dają swoje głosy w kwestyach porządków społecznych, ba, nawet według własnych teoryi kuszą się fundować na szczęśliwszych podstawach życie ludzkie; tymczasem jakież są czyny takich panów?... każdy prostak, ich własny sługa, a nawet ich dziatki gorszą się nimi bardzo.

Ale wracam jeszcze do rabunku dokonanego w kościele i uważam takowy za przestrogę, by na przyszłość być ostrożniejszym, zwłaszcza w obecnych groźnych, które przeżywamy czasach; należy mi obecnie kołatać do szanownych parafian, aby zarządzono składkę na fundusz dla utrzymania stróża, którego dotąd nie było, bo i dotąd nigdy, powiadają tutejsi nawet starzy ludzie, nikt kościoła nie okradał. Cóż za straszne czasy przeżywamy!... Dziś pod hasłem wywrotów społecznych, oraz źle zrozumianej wolności przez masy proletaryatu umysłowego i materyalnego gnieżdżą się w smrodliwych dziurach i bezdomnych jarach zbrodnie i czyny niegodne istot ludzkich.

Człowiek, choć ma rozum, pod wpływem woli zepsutej i roznamiętnionej natury, idzie dalej, niż zwierz dziki. Bo patrząc tu w naszych stronach często na te bandy, gnane przez żołnierzy z gołemi pałaszami, słysząc wszędy brzęki kajdan, nie możesz sobie, człeku, na razie zdać sprawy z tego widoku; mimo woli pytasz się, czy te bezmyślne stada, opanowane szałem zbrodni, są rzeczywiście istotami ludzkiemi, czy też to zwierzęta wiedzione do menażeryi na podziw ludzki!? O, zgrozo, czyż to nie jest poniżające dla godności ludzkiej? To też jeżeli fakta takiego zdziczenia napełniają smutkiem i boleścią serca nasze, to nauka z nich płynąca dla tych wszystkich, co stoją na straży wychowania społeczeństwa jest bardzo wymowna. Nie pomogą tu żadne, nawet Solonowe prawa, nad któremi uczeni suszą głowy, jeżeli nie będą podjęte starania o podniesienie poziomu moralnego i intelektualnego mas ludz-



Kompania z parafii Żychlin, gub. Piotrkowskiej, u stóp Jasnej-Góry.
(fot. „Dzwonka Częstochowskiego“).

kich. Pismo święte na potwierdzenie tej prawdy powiada, że jak koń nieujeżdżony staje się twardousty, tak człowiek rozpuszczony i nie moralny bywa nieugięty, jak pierwszemu trudno jest narzucić uzdę, aby go módz utrzymać w karbach, tak drugiemu trudno zalecać prawa, aby je przestrzegał, gdy on sumienia nie ma. Wiele się dziś mówi i pisze o tych okropnościach życia, pod których brzemieniem wydobywają się jęki z piersi nieszczęśliwych, a mało kto zastanawia się nad tem, skąd się one biorą, gdzie źródło złego, jak mu zaradzić i kto ma obowiązek radzenia?

Na te pytania każdy, kto pojmuje cel owego życia i jego obowiązki, łatwo odpowie, że przyczyną wszelkich nieszczęść i przewrotów w społeczeństwie jest brak wychowania, opartego li tylko na podstawach chrześcijańskich. Tylko przez chrześcijańskie wychowanie, znajomość prawd wiary i religii, człowiek się oświeca, uszlachetnia i urabia w stosunku do Boga i bliźnich. Przeciwnie, człowiek bez wychowania chrześcijańskiego, bez religii, da się zawsze powodować namiętnościom swej zepsutej natury, które mu odbierają przytomność, wyzwalają rozum z pod praw religii, a następnie pchają w przepaść zbrodni. To też ci wszyscy, którzy dziś kajdanami brzękają, nie wyłączając i tego, co świętokradzką ręką sięgnął po zdobycz do kościoła chocimskiego, gdyby byli otrzymali wychowanie choć elementarne chrześcijańskie, oparte na miłości Bożej i bliźniego, nie byliby się z pewnością dopuścili czynów hańbiących ludzką godność! A więc powinno być jasnem dla każdego, w czem leży przyczyna nieszczęść.

Należy zatem starać się wychować społeczeństwo po chrześcijańsku, a świat inną zupełnie przybierze postać. A komuż mianowicie starać się o to należy? Odpowiedź, według mnie, prosta i jasna.

Ci wszyscy, których Opatrzność postawiła w najbliższym stosunku do maluczkich, to jest: rodzice, opiekunowie, nauczyciele i gospodarze uchylać się od tego ważnego posłannictwa nie mają prawa. My zaś, ojcowie duchowni, do jakiegobyśmy nie należeli obozu chrześcijańskiego, skoro stoimy na straży wychowania religijnego i etyki chrześcijańskiej, wypiszmy sobie w pamięci i sercu wielkiemi literami te wzniosłe słowa Ewangelii: „bądźcie światłem świata i solą ziemi"; pamiętajmy, żeśmy się podjęli wskazywać maluczkim kędy droga, a gdzie przepaść, żeśmy się podjęli uszlachetniać serca ludu wiernego.

Chocim, d. 30 maja st. st. 1907 roku.

ks. Józef Okupski,

proboszcz kościoła parafialnego
w mieście Chocimie.

Kościół w Bolminie, dyecezyi kieleckiej. Na drodze, wiodącej z Kielc przez Chęciny do Małogoszcza, w pięknej okolicy wśród lasów, gór i rzek, leży wioska Bolmin z kościołem parafialnym, zbudowanym w roku 1602.

Bolmin niegdyś należał do parafii Małogoszcz, archidyecezyi gnieźnieńskiej i kolegiaty kurzelowskiej. W roku 1579 ówczesny dziedzic i kollator Stanisław Brzeski wybudował kościołek drewniany dla swych poddanych, którzy nie mogli bywać na nabożeństwie w Małogoszczu z powodu częstych wylewów rzeki Nidy. Miejsce jednak pod kościół było wybrane niefortunnie, bo nizkie i wilgotne, wszystko w kościele gniło, a zmarłych grzebali prawie w wodzie. Wtedy to ks. Jakób Chrostek, proboszcz Małogoszcza, kanonik kurzelowski wraz z dziedzicem Bolmina Janem Brzeskim, synem Stanisława, w r. 1602 wybudowali kościół nowy murowany w miejscu wyższem, zwanem „Wrzesowska góra“, gdzie stoi obecnie.

Kościół wzniesiono pod wezwaniem „Narodzenia Najświętszej Maryi Panny.“

W r. 1636 prawdopodobnie dziedzic bolmiński i kolator Aleksander Strzyżewski dobudował od strony północnej kaplicę, gdzie też umieścił obraz Matki Bożej na drzewie bukowem malowany.

Skąd pochodzi i kto malował—niewiadomo. Jest tylko w kaplicy tablica marmurowa, a na niej napis tego rodzaju: litery A — S, w środku herb: róża z krzyżem — P. B. — u dołu: anno Domini MDCXXXVI— co może znaczyć: „Aleksander Strzyżewski Patrous Bolminensis roku Pańskiego 1636.“

Obraz ten słynie, jako cudowny. Bliższych szczegółów niema, gdyż wskutek niedbalstwa akta kościelne uległy wielkiemu zniszczeniu, zostały szczępki trudne do odczytania.

Zaledwie tyle mogłem odnotować:

1-o. Że na obrazie Matki Bożej były liczne wota, jako to: korale, srebra, krzyżyki z drogiemi kamieniami... wiele z tych skradziono — została tylko mała cząstka. Jedno wotum srebrne ma już przeszło lat 200.

2-o. Że z Małogoszcza rok rocznie dawnymi czasy lud chodził do Matki Pocieszenia w Bolminie, niosąc w darze skruchę serca i ofiary za doznaną opiekę Maryi.

3-o. W Liber Beneficiorum Dioecesis Gnensnensis (wydanie ks. J. Załuskiego) jest taka notatka: „Bolmin, wieś z kościołem parafialnym w końcu XVI wieku przez wspomnianego wyżej plebana małogoszczskiego Jakóba Chrostka wystawionym z głośnym na całą okolicę obrazem cudownym Najświętszej Maryi Panny.“

Kościół jakkolwiek był dawniej w porządku, to jest: odmalowany, ołtarze w dobrym stanie — zakrystya zaopatrzona w aparaty kościelne, jednak z biegiem czasu wskutek zaniedbania kościół spustoszał — tak,

iż dziś przedstawia istną pustkę, obraz nędzy: kościół obdarty, brudny, ołtarze spróchniałe i t. d. Były naprzykład trzy dzwony — obecnie tylko jeden i to nadpęknięty, gdyż dwa większe zabrane zostały w czasie powstania Kościuszkowskiego na armaty. Następnie w czasie konsygnacyi Austryackiej znikły niektóre srebrne wota i krzyżyki z drogiemi kamieniami. (Inwentarz z r. 1796 opisuje, że były).

Nadto trzeba jeszcze i to zaznaczyć, że Bolmin, jako parafia uboga, mała, 800 dusz, była tylko przejściem do lepszego beneficium. Stąd bardzo często była bez księdza i obsługiwana przez kapłanów z sąsiednich parafii, którzy byli tymczasowymi administratorami. Wobec tego kościół pustoszał — cześć Matki Bożej zaniedbana, lud wyrodniał, niemoralniał i od kościoła się odstręczał. Obraz cudowny, który dawnemi czasy słynął na całą okolicę, teraz zapomniany, bo nawet właśni parafianie nie wiele wiedzą i pytają się, co to za obraz?

Obraz ten, gdym przyjechał pierwszy raz i zobaczył go, wywarł na mnie przedziwne wrażenie. Będąc za granicą, widziałem arcydzieła obrazów, ale czegoś podobnego, jak w kościele bolmińskim, nie widziałem. To też postanowiłem wszystkiemi siłami odnowić cześć Matki Bożej — odnowić obraz Maryi, ołtarz i kościół.

Ależ jakże się do tego wziąć? Lud biedny — grunt piasczysty, nieurodzajny — dołączyć i to, że Bolmin ulegał kilkakrotnemu doszczętnemu pożarowi. Ja sam po kuracyi materyalnie jestem zupełnie wyczerpany. Więc co? Myśl ta trapiła mnie wciąż, iż nieraz spać nie mogłem, aż wpadłem na taki pomysł.

Zbierają i proszą o składki na przeróżne pomniki i pamiątki, a czyżbym i ja nie mógł odwołać się do dobrych i litościwych serc, choćby o najmniejszą pomoc dla swego kościoła?... Przecież i ja chcę postawić pomnik cichy, wprawdzie skromny, bez rozgłosu, zostawić pamiątkę dla Maryi Królowej Korony Polskiej — odnowić obraz, ołtarz i kościół ku Jej czci poświęcony.

Przecież Polska zawsze odznaczała się i przodowała wszystkim narodom we czci i miłości ku Maryi, tak, iż największym zaszczytem i honorem było: „Ego sum sodalis Marianus“ — Marya wzamian za to opiekowała się narodem polskim — weźmy naprzykład ten moment z historyi: napad Mikołaja Zebrzydowskiego na króla Zygmunta, co opisuje ks. Szymon Majchrowicz w swojem dziele: „Trwałość szczęśliwa królestw“.

„R. 1607, dnia 7 lipca, pobożny kapłan w Rzymie, imieniem Bartłomiej, nie nauką (bo o Polsce nie wiedział), ale świętobliwością znaczny, takie miał widzenie. Ten podczas Mszy świętej znagła w zachwyceniu po polsku zawołał: „O, Polsko, jak masz wiele obrońców!“ Zdumieli się na to słyszący: a gdy świętej ofiary, dokończył, mocą posłuszeństwa

go przymuszono, aby wyjawił, coby się to znaczyło, odpowiedział: „Widziałem, że Bóg sprawiedliwy zagubić chciał jakąś Polskę, aby poddani zwyciężyli własnego króla i tak, żeby zaginęło rozerwaniem królestwo. Atoli Najświętsza Marya na twarz swoją przed Bogiem upadłszy i z inszymi świętymi obrońcami Polaków, uprosiła oddalenie sprawiedliwych wyroków.“ To widzenie było tegoż samego czasu, dnia i roku, kiedy Mikołaj Zebrzydowski w 10 tysięcy szlachty uderzył na króla, który miał tylko 7 tysięcy“.

Idą więc liczne składki na przeróżne pomniki i pamiątki, a nikt nie wie, że jest zakątek, Bolminem zwany, w którym znajduje się kościół z cudownym obrazem Matki Bożej, ubogi, zniszczony, zaniedbany. Radbym to wszystko doprowadzić do porządku.

Może te słowa i prośby moje trafią do serc polskich, do serc litościwych i kochających Maryę, iż pośpieszą z najmniejszą ofiarą dla Maryi. Matka Boża wzamian za to w tych burzliwych czasach uprosi u Syna Swego Jezusa opiekę nad narodem i nad tak zasmuconą ojczyzną.

Polecając się łaskawej pamięci ludzi dobrego serca, pozostaję sługą w Chrystusie

ks. Piotr Folfasiński,
proboszcz bolmiński.

Z Mohylowa. Powiatowe miasto Mohylów, położone nad spławną rzeką Dniestrem, na Podolu, należał najprzód do wojewodów Wołoskich, potem do Potockich, a teraz do skarbu. Posiada kościół jeden, katedrę ormiano-katolicką, 3 cerkwie, między któremi „grecka“ z swojej struktury i ozdób zasługuje na uwagę. Mohylów odległy jest od Kamieńca Podolskiego o 131 wiorst, kolej żelazna przechodzi przez miasto i łączy Żmerynkę z Nowosielicą. Miasto to osłonione jest zewsząd wysokiemi górami, z racyi czego tu wcześniej niż na górze wiosna, a tem samem później zima; gdy na górze potrzeba saniami jeździć, w Mohylowie drzewa zaczynają kwitnąć. Posiada szkołę handlową, gimnazyum żeńskie, szkołę miejską i szkołę żydowską.

Jak widać z erekcyi kościoła, to już w 1742 roku kościół miał różne nadania. Wtedy był kościołek drewniany i gdy groził zawaleniem się, staraniem proboszcza, księdza Szymona Krzysztofowicza w 1789 roku rozpoczęto budowę obecnego kościoła. Wielkie w tem zasługi położył Jan Krzysztofowicz, zacny wójt Ormianin, który „przy dzielnem pieniężnem wsparciu“—zapomniawszy prawie o handlach swoich — całe dnie przepędzał przy robotnikach i z największą usilnością starał się, by to dzieło jak najśpieszniej było ukończone, prawdziwie można powiedzieć, „że to był wielki człowiek“. I szczęśliwie został kościół ukoń-

czony d. 20 1791 roku. Wtedy obraz cudowny Matki Boskiej przeniesiono z drewnianego kościoła i umieszczono w wielkim ołtarzu. O obrazie w archiwum kościoła znajduje się następujący opis: „W tym to kościele cudowny obraz Płaczącej Matki Najświętszej, który to obraz zjawił się u pewnego szewca imieniem Grzegorza 20 września 1751 roku. Lecz staraniem proboszcza na ten czas będącego, nazwiskiem Stefana Mikołajewicza, wzięty od tego szewca i sprowadzony do kościoła, a gdy i w kósciele przez niemały czas płaczącą w tym obrazie Matkę Boską lud cały widział i cudów Jej doznawał, tedy ks. proboszcz tutejszy za konsensem konsystorskim sprowadził na grunt komisyę, która to komisya po wyprowadzeniu inkwizycyi z oczywistych świadków i wysłuchaniu onych, po korporalnej przysiędze, oraz widząc oczywiste krople obfitych łez Płaczącej Matki Boskiej na obrazie, dekret ferowała, ażeby ten obraz Matki Boskiej za cudowny był uznany i do publicznego uczczenia był wystawiony. Na fundamencie więc rozstrząśnienia komisyi i ferowanego od tejże dekretu nastąpiła aprobata Illustrissimi Ordinarii Loci.“ Następuje potem kopia aprobaty Arcybiskupa Jakóba Stefana Augustynowicza.

Za staraniem ks. Szymona Krzysztofowicza—przybył do Mohylowa Arcybiskup ormiański lwowski, Jakób Waleryan Tumanowicz dla konsekracyi kościoła, która się odbyła dnia 3 lipca 1791 roku. Cieszy się z tego Arcypasterz, że mając lat 80, doczekał się radosnej chwili konsekrowania kościoła, do którego ukończenia sam namawiał. Kościół ma długości 45, szerokości 28 łokci, o 2 wieżach, na dachu wieżyczka. Dach w roku 1906 pokrył obecny proboszcz ks. Hołubecki cynkową blachą, a obecnie rozpoczął roboty mularskie na zewnątrz. Kościół jest o trzech nawach, ma posadzkę kamienną, która potrzebuje zamiany na nową. Od strony Epistoły znajduje się tron biskupów ormiańskich — drewniany, olejno malowany z baldachimem. Ołtarzy 5. Wielki ołtarz z obrazem Najświętszej Maryi Panny łaskami słynącej, zasłona. Obraz Najświętszej Maryi Panny Niepokalaniepoczętej, błogosławiony przez Ojca świętego. Obraz staraniem ks. Erazma Czaczkowskiego około roku 1884 opasany napisem, ułożonym z wotów srebrnych: „O, Maryo, módl się za nami!“ Drugi ołtarz świętego Grzegorza, patrona Ormian. Trzeci Pana Jezusa. Czwarty świętego Józefa i piąty świętego Antoniego Padewskiego. Po tolerancyjnym Manifescie 17 kwietnia 1905 r. administratorem kościoła został ks. Hołubecki, który w tymże roku zaraz na Wniebowzięcie Najświętszej Maryi Panny urządził pierwszą religijną pielgrzymkę do Jaryszowa, sąsiedniej parafii o 18 wiorst odległej. Na tę uroczystość pobożne panie tej parafii sprawiły nowe chorągwie. W dniu 15 maja b. r. po raz pierwszy z Mohylowa wyruszyła kompania do Częstochowy, by polecić się opiece Królowej Korony Pol-

skiej. Przybywszy w dzień Bożego Ciała do Częstochowy, pątnicy ci doznali nieopisanej radości, bo nietylko że mogli zanosić modły u stóp ołtarza Matki Najświętszej Jasnogórskiej, ale także uczestniczyli w uroczystej i wspaniałej procesyi Bożego Ciała, jaka odbyła się na Jasnej-Górze w niedzielę po Bożem Ciele, przy udziale bardzo licznych kompanii. Kompania Mohylowska składała się z 70 przeszło osób. Oprócz ks. Józefa Bernarda Janiny-Hołubeckiego, inicyatora i przewodnika tej pielgrzymki, towarzyszyli jej i księża sąsiedzi: proboszsz ozarzynieckiego kościoła, ks. Stanisław Brzostowski i wikaryusz czerniowieckiego kościoła, ks. Franciszek Andruszewicz. Szczególnie wyrózniali się swoją pobożnością i usłużnościę i całem zachowaniem się parafianie czerniowieccy i powinni służyć za przykład innym parafianom.

Wszyscy uczestnicy tej pielgrzymki szczęśliwie powrócili do domów swoich pokrzepieni na duchu i umocnieni w wierze świętej.

Niezmordowany w pracy kapłańskiej i obywatelskiej czcigodny ks. Hołubecki pomimo wielu trudności założył w Mohylowie „Dom Polski". Zbyteczną rzeczą chyba objaśniać, jak wiele dobrego może przynieść ta instytucya dla braci Polaków, pracujących zdala od ojczystych zwyczajów i obyczajów. Cel założenia „Domu Polskiego" najlepiej objaśnił sam jego założyciel w pięknem przemówieniu przy otwarciu tego „Domu", które przytaczamy w całości:

„Staropolskim zwyczajem witam was, bracia rodacy: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Zebraliśmy się tutaj, aby się zjednoczyć sercem, podać sobie wzajemnie dłoń bratnią, na duchu się podnieść, a zarazem nabrać sił, by oświecić co ciemne, podeprzeć co słabe, w ogóle zachęcić się do pożytecznej dla dobra kraju pracy. Bo praca — to godło chrześcijańskiego człowieka, to konieczność naszego żywota, źródło zasługi przed Bogiem i ludźmi. Lecz, aby praca była nas godną— musi być dobrowolną i rozumną; każdy z nas z pracy swej powinien zdać sprawę: my pracą mamy oddać hołd i uwielbienie Stwórcy, nieść pożytek ludzkości. Kraj nasz przez wiele lat pozostawał w uśpieniu do tego stopnia, że Polacy zapomnieli, że są Polakami, a wielu nawet lękało się mówić językiem ojczystym. Jeżeli nas Bóg stworzył Polakami, to pamiętajmy, że zawsze i wszędzie powinniśmy być Polakami, nie mamy prawa odziewać się w inną skórę, bo nasz sławny poeta Zygmunt Krasiński mówi: „Wiedz, że człowiekiem ci być się godzi teraz tylko pod postacią Polaka — inną wdziej — a niżej bydlęcia upadniesz!" (Lwów, „Nie boska komedya", 1904 r., str. 402. Tom II).

Teraz zaś, kiedy otwieramy „Dom Polski" byłoby zbrodnią już patrzeć obojętnie na te warunki, w jakich się znajduje nasza uboga dziatwa polska, szczególnie po wsiach. Jeżeli ta dziatwa nie będzie mogła przyjść do tutejszej szkółki, należy jej otworzyć bliżej w każdej wsi,



Kompania z Mohylowa pod przewodnictwem swych pasterzy, u stóp Jasnej-Góry.

(fot. „Dzwonka Częstochowskiego").

aby dziatwa nauczyła się przynajmniej czytać po polsku i rozumieć to, co czyta, inaczej wcale nie będzie znać mowy swojej ojczystej. Pamiętajmy, że oświata rozwija i podnosi ducha, uszlachetnia, udoskonala serce ludzkie i zbliża do Boga. Dlatego członkowie towarzystwa „Dom Polski“ powinni podeprzeć to, co słabe, i razem z ludem przyśpieszyć jasną wizyę jutra, bo jak mówił zacny nasz poeta Słowacki:

„Bo czyn ludu nie piosenka,
To nie w herbie z mieczem ręka,
. . . .
Ale twardo, ale jasno
Śród narodu swego stać.“

(Do autora trzech Psalmów — Mikołów — 1899 r. Tom 1. str. 43).
Zatem poświęcając ten „Dom Polski“—składam wyrazy szczerego uznania dla założycieli, zachęcając do wytrwałości i życząc lepszej przyszłości.“

List z Sylwanowic, pow. Augustowskiego. Do Szanownej Redakcyi „Dzwonka Częstochowskiego“. Dnia 9 czerwca pozybyła do Częstochowy kompania, w liczbie 600 osób, z powiatu Augustowskiego, parafii Sylwanowickiej, pod przewodnictwem księdza Ignacego Bruszewskiego, złożona przeważnie z byłych unitów. Przez lat wiele niewolno było tym biednym ludziom pójść na to cudowne miejsce; jakaż radość napełniła ich serca, gdy z ust czcigodnego kapłana usłyszeli. „W tym roku chcę was zaprowadzić na Jasną-Górę, do stóp Królowej Polski!“ To też kto tylko mógł, zbierał krwawo zapracowane grosze, by niemi opędzić podróż na święte miejsce. Nie bacząc na trudy podróży, z wiarą i otuchą w sercu, pod opieką troskliwego kapłana ruszyliśmy w drogę, z niecierpliwością wygladając, rychło-li ujrzymy tron naszej Niebieskiej Matki na ziemi. A gdyśmy stanęli już na Jasnej-Górze, przywitani na wstępie serdecznemi słowy księdza Paulina, podnieceni dźwiękami muzyki, z jakąż radością, z jakąż wiarą garnęliśmy się do tej naszej Królowej, całe dnie spędzając u Jej stóp!... Za krótkim wydał nam się czas czterodniowego pobytu w Częstochowie, radzibyśmy byli tu pozostać na zawsze. O! bo też wiele mieliśmy do powiedzenia tej troskliwej Matce, która tak serc naszych strzegła przed pokusą szatana, wiele hołdów dziękczynnych i próśb wiele, by raczyła ta Matka wziąć pod swój płaszcz macierzyński kraj nasz i nas wszystkich, by związała nas nierozerwalnym łańcuchem bratniej miłości. Otoczeni przemożną opieką tej Matki Najświętszej wróciliśmy do swych domów silni na duchu, zdolni do nowych walk i trudów za naszą wiarę świętą i ojczyznę drogą.

Pątniczka z Sylwanowic.

Z Ameryki. List przesłany przy ofiarze z miasta St. Louis w Ameryce Północnej do ks. Pabisiewicza, proboszcza Piszczac, gub. Siedleckiej. Najpierwszemi słowy przemawiamy, jako parafianie i dzieci osierociałe od swego kraju. Przemawiamy, jako do swego księdza proboszcza: Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus! Spodziewamy się, jako od swego proboszcza, odpowiedzi: „Na wieki wieków!“ W dalszym ciągu donosimy, że przy pomocy Bożej, zebraliśmy niedużą ofiarę na kościół w piszczackiej parafii i posyłamy ją na imię księdza proboszcza i prosimy o łaskawe przyjęcie tej ofiary i o rozporządzenie temi pieniędzmi. Co ma być sprawione, nie możemy tego wymienić, bo nie wiemy co jest, a czego niema.

Nazwiska ofiarodawców są następujące:

Z Wyczółek:		
1.	Jan Gerczuk	20 rb.
2.	Marcin Kukowski	20 rb.
3.	Bazyl Marczewski	20 rb.
4.	Jakób Marczewski	20 rb.
5.	Grzegorz Garasimuk	16 rb.
6.	Wincenty Andrzejewski	16 rb.
7.	Jan Neścioruk Gerczuk	10 rb.
8.	Mikita Marczuk	10 rb.
9.	Roman Sidoruk	10 rb.
10.	Jan Maliszewski	10 rb.
11.	Teodor Marczuk	10 rb.
12.	Bolesław Kulasiński	10 rb.
13.	Tomasz Parchomiuk	10 rb.
14.	Emilian Gromięcki	2 rb.
15.	Józef Kuraszuk	10 rb.
Z Wólki Kościeniewickiej:		
16.	Melan Bajkowski	10 rb.
17.	Teodor Czybieszuk	10 rb.
18.	Grzegorz Bojkowski	4 rb.
Z Huszczy:		
19.	Andrzej Jarocki	2 rb.
Z Dąbrowicy Wielkiej:		
20.	Marcin Makarewicz	6 rb.
Z Kokołów:		
21.	Andrzej Bielecki	2 rb.

Z Bukinki:

22. Kazimierz Kulchawczuk . . . . . 2 rb.

Z Koscieniewicz:

23. Stanisław Tabor . . . . . . 10 rb.



Nowowzniesiony kościół parafialny w Piszczacu, gub. Siedleckiej.

Z Ortela:

24. Bachyl Cokalski . . . . . . 4 rb.
25. Teodor Raczyński . . . . . . 10 rb.

Z Dobrynki:

26. Łukasz Marchalewski . . . . . . 10 rb.

Z Piszczaca:

27. Mikolaj Marczuk . . . . 10 rb.

Ze Sławątycz:

28. Zdzisław Tonkiel . . . . 10 rb.
29. Jakób Parczewski . . . . 4 rb.

Z kolonii Piszczac:

30. Edward Tonkiël . . . . 20 rb.

Suma . 308 rb.

Ośm rubli ofiarowano na odprawienie Mszy świętej na intencyę naszego zdrowia i aby Bóg pozwolił nam oglądać swój rodzinny kraj — a trzysta rubli na wspomogę kościoła świętego i temi słowami kończymy ten list, całujemy ręce listownie, gdyż osobiście nie możemy, bo jesteśmy oddaleni.

St. Louis Mo. Nr. 1525 n. 8. *Jan P. Gorczuk.*

Kościół w Piszczacu, w niespełna czterech miesięcy stanął, jakby cudownie, zawdzięczając to dobrym chęciom szlachetnych osób. Przez trzydzieści lat mieszkańcy tej parafii nie mieli własnego kościoła. Dziś posiada już wielki ołtarz, organy i pięknie zaopatrzoną zakrystyę. A choć wiele mu jeszcze brakuje, jednakże jest w Bogu nadzieja, że pomalutku dojdą zacni parafianie piszczaccy do posiadania wszystkiego. Szczęść im, Boże!

Ku czci Kazimierza Wielkiego. „Gaz. Kujaw.“ pisze: „Od kilku lat już kiełkowała wśród mieszkańców Kowala myśl uczczenia pamięci króla Kazimierza Wielkiego przez wystawienie mu pomnika w jakiejkolwiek postaci w miejscu jego urodzenia.

Pierwszym inicyatorem pod tym względem był p. sędzia Cypryan Apanowicz z Dziańkówka, który też zawiadomił obywateli o istnieniu w domu przy ulicy Grzybowskiej pod Nr. 24, w Warszawie, posągu Kazimierza Wielkiego i zaproponował nabycie. Właściciel p. Thursz przy porozumieniu się z nim co do pewnego nabycia owej statuy zażądał tak znacznej sumy, iż za nią możnaby postawić nawet skromny pomnik.

Obecnie wobec zbliżającej się szcześćsetnej rocznicy urodzenia Kazimierza Wielkiego w Kowalu, która przypada w dniu 10 listopada 1910 r., pierwotna myśl przyobleka się w więcej prawdziwą formę, na dzień bowiem dnia 30 czerwca r. b. zwołane zostało walne zgromadzenie mieszkańców Kowala, na które zostali zaproszeni okoliczni obywatele i duchowieństwo. Niestety, z liczby 48 pozamiejscowych zaproszo-

nych osób stawiło się zaledwie kilka. Zebranych w pięknie przystrojonym lokalu ochronki przywitały dzieci z ochronki śpiewem chóralnym. Po wyborze jednogłośnie na przewodniczącego p. Leona Krętkowskiego z Boruchowa, ks. kan. Jackowski wygłosił odczyt o Kazimierzu Wielkim, następnie wywiązała się dyskusya, ukończona powzięciem jednomyślnego wniosku że należy uczcić rocznicę.“

Seminaryum dla nauczycieli ludowych w Ursynowie, pod Warszawą. Z początkiem roku szkolnego 1907/8 otwarte zostanie. Kurs nauk czteroletni. W roku bieżącym kandydaci przyjmowani będą na kurs pierwszy i drugi. Miejsc wolnych na kursie pierwszym 50, na drugim — 40. Opłata za naukę, mieszkanie i utrzymanie rb. 150 rocznie, wnoszona z góry w trzech ratach: we wrześniu, styczniu i kwietniu; od powyższej opłaty nikt zwolniony być nie może. Wiek kandydatów na kurs pierwszy od 16 do 19 lat, na drugi — 17 do 20 lat. Od kandydatów na kurs pierwszy wymagane jest świadectwo z ukończenia przynajmniej 4-ch klas, od kandydatów zaś na kurs drugi—przynajmniej 5-ciu klas szkoły średniej. Wszyscy kandydaci poddani zostaną egzaminowi konkursowemu.

Zapisy przyjmują się codziennie, z wyjątkiem dni świątecznych, do dnia 15 sierpnia r. b. od godziny 11-ej do 1-ej po południu, u sekretarza Seminaryum, w mieszkaniu niżej podpisanego: w Warszawie, ul. Senatorska Nr. 3 — II p.

Przy zapisie należy złożyć: 1) metrykę urodzenia, 2) świadectwo szczepienia ospy, 3) świadectwo szkolne i 4) referencye osób wiarogodnych.

Egzaminy rozpoczną się dnia 9 września r. b.

W imieniu tymczasowej Rady Nadzorczej

Antoni Osuchowski.

Ostrzeżenie. Doszło do mej wiadomości, że jacyś dwaj mężczyźni, (z których jednego przedstawiono mi jako bruneta, ogorzałego, o bujnym zaroście brody i twarzy), obchodzą od pewnego czasu wioski i miasta i zbierają do puszek od katolików ofiary, głosząc, że „ponieważ kościół w Długiej-Kościelne, jest bardzo stary, bo już 500 lat istniejący i jako drewniany do upadku się chyli, przeto parafianie budują kościół nowy i jako biedni żebrzą o ofiary.“ Otóż słowa te pięknie i pobożnie brzmiące na kłamstwie są oparte, a należy je tak rozumieć: Kościół katolicki w Długiej-Kościelnej jest istotnie bardzo stary, lecz trzyma się jeszcze krzepko i jest nadzieja, że długo jeszcze katolikom służyć będzie, obecnie naprawy nie potrzebuje, więc też ani składki na budowę

nowego nie są zbierane, ani też nikt do zbierania ofiar na ten cel nie został upoważniony.

Przez „kościół nowy“ należy rozumieć kozłowicki dom modlitwy, który rzeczywiście kozłowici w Długiej-Kościelnej budują, lecz o tem wobec katolików, od których w podstępny sposób wyłudzają ofiary, milczą.

Upraszam inne szanowne pisma o przedrukowanie tego ostrzeżenia, a Szanownych księży Proboszczów i Rektorów kościołow o zakomunikowanie takowego parafianom, aby nie stawali się ofiarami oszustwa.

Z uszanowaniem

ks. Fr. Kumosiński,
proboszcz parafii Długa-Kościelna w dekanacie mińsko-mazowieckim.

Pomnik Mickiewicza w Zawierciu. Z inicyatywy p. Bronisława Micińskiego wzniesiono w Zawierciu, gub. Piotrkowskiej, pomnik Adama Mickiewicza, w parku, zwanym „Bronisławów“. Pomnik dłuta F. Starzewskiego z Częstochowy przedstawia się bardzo pięknie, otaczają go nasze swojskie drzewa, o których z taką miłością odzywał się wieszcz w „Panu Tadeuszu“. Odsłonięcie pomnika odbyło się w dniu 7 lipca r. b. przy nader licznym udziale ludu okolicznego.

Teror. Artykuł wstępny w ostatnim numerze *Życia Robotniczego* poświęcony został tej prawdziwej pladze naszego życia, szczególnie ujemnie oddziaływającej na położenie klasy robotniczej, jaką jest krwawy teror, niegasnący, niestety, wcale pomimo jednozgodnego potępienia ze strony rozmaitych organizacyi robotniczych:

„W dniach ostatnich — czytamy w *Życiu Robotniczem* — znowu padł z ręki niewykrytych złoczyńców cały szereg jednostek, bądź należących do świata robotniczego, bądź inżynierów, techników i t. d.

Krwawa wstęga, która już od dwóch lat wije się w życiu naszego kraju, wstęga krwi przelanej, jeszcze się nie urwała, a przedłużają ją niecnie, podle, cały naród nasz hańbiące ręce.

Czyim dziełem są te mordy?

Kto ma w tem interes, by w znękanym przez tyle ciosów kraju naszym nie mógł zapanować godny cywilizowanego narodu stan, by życie ludzkie było igraszką, którą lada łotr za swą własność uznaje?

Kto wydaje te wyroki?

Kto do nich przykłada pośrednio czy bezpośrednio rękę?

Na wszystkie te pytania jedna jest tylko odpowiedź.

Bez względu na to, czy ofiara padła z ręki wysłannika partyi; czy też dobrowolnego siepacza, winnymi są ci, którzy, korzystając z ogól-



Pomnik Adama Mickiewicza w Zawierciu.

nego braku uświadomienia, w bezmyślnym szale rozdawali ludziom broń, nie pytając, na co ona użyta będzie; ci, którzy powstrzymując lud roboczy od wytrwałej, zmudnej walki o lepszą przyszłość, obiecywali złote góry, a teraz, nie mogąc nic ze swych przyrzeczeń dopełnić, umywają ręce i pozwalają różnym mętom gospodarować po swojemu; winni są ci, którzy wprowadzili do naszego kraju owe samosądy barbarzyńskie,ów teror ekonomiczny, owo niszczenie dobytku ludzkiego, — broniąc rzekomo bytu robotniczego.

Musimy to sobie raz powiedzieć jasno. Dopóki tolerować będziemy pośród siebie ludzi, którzy terorem załatwiają rachunki ekonomiczne lub partyjne, dopóki pozwalać będziemy na tę gospodarkę krwi, dopóty nie możemy prawdziwej działalności robotniczej, mającej na celu trwałą poprawę bytu naszego, oprzeć na mocnych podstawach.

W całym świecie trwają walki ekonomiczne pomiędzy kapitałem a pracą; lecz niema krają, gdzieby nóż i rewolwer służył do rozstrzygania tej walki. Wszędzie robotnicy rozumieją, że zdobycz, okupiona przelaniem krwi, nie będzie trwała i, prędzej czy później. wniwecz się obróci. Czyż nasz kraj ma być po za obrębem świata cywilizowanego? Czy chcąc przeciwdziałać kapitałowi, nie mamy innych dróg, jak mordowanie dyrektorów, inżynierów i t. d. Wszak i to są ludzie, z którymi po ludzku walczyć należy.

Polski lud robotniczy wstąpił teraz na drogę jedynie uzasadnionej i skutecznej walki z kapitałem: na drogę związków zawodowych. Z tej drogi chcą nas zwrócić ci, którzy tylko uznają teror i w nim widzą jedyną swą broń. My z całych sił ten zamach odeprzeć musimy. Musimy wyrwać z rąk wrogów naszej przyszłości te rzesze otumanione, które jeszcze nie rozumieją właściwej drogi działania, i musimy wyplenić z pośród siebie ten chwast, którym niwa polska porasta ku naszej zgubie. Tego wymaga cześć robotnicza i honor robotniczy, które w niemniejszej istnieją sile u nas, niż w innych krajach.“

Artykuł swój kończy *Życie Robotnicze* hasłem, które kraj cały poprze chyba gorąco:

Precz z krwią, precz z mordami, precz z terorem!

Wypadki w Iwieńcu. Głośne już zajście w Iwieńcu, małej mieścinie w pow. Mińskim, nie przestaje ściągać ku sobie uwagi szerokich kół społeczeństwa polskiego. Zwłaszcza silne jest zainteresowanie się wypadkami temi na Litwie. Redakcya *Kuryera Litewskiego*, na wieść o tragedyi iwienieckiej, wydelegowała na miejsce swego korespondenta mińskiego, p. Adama Żabę, który w ostatnim numerze tego pisma zdaje sprawę ze swych wrażeń. Pozwalamy sobie przytoczyć poniżej główne ustępy z tego opisu:

Iwieniec, niegdyś własność Sołłohubów, później Plewaków, przeszedł do rąk Rosyanina, Draguncewa. Liczy około 3 tysięcy ludności, z których połowa — mieszczanie, katolicy, Rosyan i prawosławnych jest zaledwie kilku niższych urzędników, reszta — Żydzi.

Mieszczanie iwienieccy znani są w kraju, ba! nawet po za granicami kraju, jako zdolni mularze i garncarze. Rok rocznie zdrowi i dorośli mężczyźni porzucają na lato miasteczko rodzinne, by wrócić na zimę do domu z zarobkiem i wrażeniami. Chęć utrzymania nowych wrażeń i przyzwyczajenie do wędrówek pędzi iwieńczan nawet do Ameryki, gdzie konkurują o lepsze z przedsiębiorczym Amerykaninem.

W roku 1606 zbudowany został kościół-fara z charakterystycznemi dwiema wieżycami po bokach, w roku zaś 1745 dziedzic Jan Dowojna, hrabia na Horkach, Sołłohub, podskarbi litewski, wystawił własnym kosztem mur dokoła fary i plebanię.

Trzy wieki dźwigająca fara stoi wprost rynku; już lat kilkadziesiąt temu rysy na murze ostrzegały o mogącej nastąpić katastrofie i w oczekiwaniu gruntownej restauracyi przeniesiono utensylia kościelne do drugiego kościoła, a fara padła ofiarą płomieni w czasie pożaru miasteczka w roku 1888.

Drugi kościół, stojący na uboczu frontem do fary, wystawiony w końcu XVII wieku z jałmużny, staraniem Anzelma Czechowicza, mieszczanina iwienieckiego, franciszkanina. Przy kościele był klasztor franciszkański, wystawiony kosztem p. Teodora Wańkowicza w r. 1702. W r. 63 kościół i klasztor uległy losowi wielu świątyń katolickich na Rusi i w obecnej chwili kościół przerobiony na cerkiew, zawdzięczając jednak chyba wypadkowi nie uległ on zdeformowaniu przez nadbudowanie kopuł na wieżach, jak to spotykamy w wielu zabranych kościołach.

Parafia iwienicka, po utracie kościołów, dołączona została do Kamienia, jednak katolicyzm nie zaginął i okolica na kilka wiorst w promieniu liczy trzy tylko wsie o ludności mieszanej, która stopniowo przechodzi na katolicyzm.

Potrzebę świątyni zrozumiał generał Edward Kowerski i już w roku 1905 na cmentarzu katolickim zaczynają się wznosić mury kościołka kaplicy, budowanego kosztem p. Kowerskiego, a ks. Lucyan Szczerba tymczasem w prowizorycznej kapliczce drewnianej odprawia mszę i naucza wiernych. W r. b. mury kościoła będą ukończone i w zimie nabożeństwa będą odbywały się w kościele.

Dla zasięgnięcia informacyi o krwawym zajściu wtorkowym wychodzę na miasto, ponieważ ks. Szczerba wyjechał we czwartek i na wstępie spotykam poważnego mieszczanina. „Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus!“ — „Na wieki!“ — i po krótkiej chwili dowiaduję się następujących szczegółów:

Przy bramach obu kościołów stały dawniej krzyże. Po 1863 roku władze przeniosły krzyż przy farze za ogrodzenie, krzyż zaś przy teraźniejszej cerkwi nie doczekał się przeniesienia i zwalił się.

W roku bieżącym miejscowi gospodarze wznieśli kilka krzyżów, w tej liczbie i na placu przed cerkwią, lecz nie na miejscu starego krzyża, a o kilkadziesiąt kroków na uboczu, przy rozstajnych drogach, Wołożyńskiej na Nowe Miasto i Borowikowskiej na klasztor; od wrót do ogrodzenia cerkwi było około 100 kroków.

Gdy zjawiła się deputacya u księdza z prośbą o poświęcenie krzyża, ks. Szczerba uprzedził, że może to sąsiedztwo krzyża katolickiego będzie się nie podobało parochowi miejscowumu, lecz ten ostatni wychodził do ustawiających na miejscu krzyż i zapowiedział, iż miejsce rzeczywiście jest dobre, przy rozstajnych drogach i t. d.

Było to 21 maja r. b.

Do krzyżów na mieście odbywały się procesye i nie zwracały niczyjej uwagi, tylko *Minskoje Słowo* umieściło zjadliwą korespondencyę z Iwieńca, co prawdopodobnie pobudziło policyę do zapytania ks. Szczerby o „prawo“ postawienia krzyża. Ponieważ zaś ten ostatni nie stawiał krzyża i wiedział o przyzwoleniu parocha, tak odpowiedział.

W połowie czerwca wezwani zostali do naczelnika ziemskiego: Julianna i Stanisława Cimochowski, Burakowa, Mikucka, starosta mieszczański, Waleryan Burak i wynajęty do wkopania krzyża Felicyan Kruhliński, wszyscy pociągnięci do odpowiedzialności za „nieprawne“ postawienie krzyża. Sąd skazał ich na 1 rb. kary i... może przeniesienie krzyża, chociaż żadna z wezwanych nie mogła tego stwierdzić.

Nie zrozumiawszy wyroku i zadowolniwszy się karą pieniężną, wezwani ani pomyśleli o przeniesieniu krzyża, a tymczasem 3 lipca, we wtorek, zjawił się „stanowy“ z kilkunastu strażnikami; otoczono krzyż, przyczem zdjęto czapki i po krótkiej modlitwie jeden ze strażników w cywilnem ubraniu, przystąpił do wykopywania krzyża. Na razie kilku ciekawych zatrzymało się, by spojrzeć, co też tam robi policya. Potem bliżsi mieszkańcy wysunęli się na plac. Wykopany krzyż złożono na furze i w pół godziny potem wkopano go na skraju cmentarza katolickiego. Była godzina 10 rano.

Wieść o krzyżu lotem błyskawicy obiegła miasteczka i na cmentarzu zgromadziło się kilkadziesiąt kobiet, dzieci i wyrostków do lat 12 — 13. Mężczyzni byli nieobecni, ponieważ albo się porozjeżdżali, albo porozchodzili do roboty. Zwykle zaś latem na cały Iwieniec pozostaje około 20-tu mężczyzn.

Otóż zebrane na cmentarzu kobiety uradziły, iż wobec już ściągniętej grzywny, krzyż może stać na dawnem miejscu, ze śpiewami odniosły go, wkopały do dołu i otoczyły wieńcem, broniąc od napaści.

Ujrzawszy zaś, że policya znowu się zbiera, przeniosły go do płotu zagrody mieszczaninna Franciszka Buraka, daleko od cerkwi i drogi, opodal plebanii parocha. Miejsce to wskazywane jakoby było przez naczelnika ziemskiego na sądzie.

Strażnicy, ze „stanowym“ na czele, atakowali gromadę, rozpędzając nahajkami, na co krewkie kobiety odpowiedziały miotłami, piaskiem oraz statkami kuchennemi. Gdy obrona taka nie skutkowała, wzięto się do kamieni i kilku policyantów doznało lekkich obrażeń, „stanowy“ zaś został zraniony w głowę. Wtedy to rozlega się komenda: „strieliat'...“ Padło około 50 strzałów, kule gwizdały, odbijając się od płotów i sąsiednich domów; w tej chwili „uriadnik“ miejscowy dobył rewolweru i wystrzelił kilka razy... jedna z kobiet zachwiała się i padła, przeszyta z lewej strony piersi; kula przeszła przez plecy.

Po strzałach zapanowała panika, rzucono się do ucieczki, wrażliwsze mdlały, lecz cucone nahajkami, ustępały z placu. Pozostała tylko Julia Niedźwiedzka (lat 67) zabita i Burakowa, cucąca ją.

Wnet otoczono plac „zwycięstwa“ i nie dopuszczono do zabitej nikogo, w pół godziny zaś potem przewieziono ciało do szpitala, gdzie skonstantowano śmierć natychmiastową.

Niepokój ogarnął miasteczko; kilku lekko rannych i zbitych, w obawie przed represyami i prześladowaniem usilnie ukrywało swoją obecność na placu, mężczyźni zaniepokojeni o żony i córki, żydowska ludność ze współczucia ku sąsiadom.

Nazajutrz, we środę, wezwano telegraficznie władze gubernialne: wice-prokurator, sędzia śledczy, doktór powiatowy i pomocnik asesora ze... strażnikami. Zaczęło się badanie, lecz wezwano zaledwie kilka kobiet, w tej liczbie wyżej wymienione, pozywane do ziemskiego naczelnika i Antoniową Hołubowiczową. Badane opowiadały detalicznie o zajściu, nawet o strzelaniu do jednej osoby z uciekających. Na świadków nie wezwano obecnych na placu mieszkańców żydów, tylko rabin miejscowy musiał stwierdzić brak obawy o „bunt wspólny“ z katolikami.

Niektórzy chętni świadkowie, jak to było z Anielą Murawską, odprawiani byli z kwitkiem bez badania.

Tegoż dnia wydano rodzinie ciało zabitej Julii Niedźwiedzkiej na wstawiennictwo poważnego mieszczanina i b. starosty mieszczańskiego, Michała Łotysza.

Nazajutrz, t. j. we czwartek 5 lipca, odbył się wspaniały pogrzeb poległej przy udziale miejscowego księdza i proboszcza z Kamienia ks. Zarako-Zarakowskiego. Nietylko miasteczko, lecz i okolica towarzyszyła zmarłej na miejsce wiecznego spoczynku.

Liczne wieńce z napisami: „poległej za wiarę“ i t. p. złożone były na trumnie. Pochowano zabitą za kościołem tuż przy murze, a wieńcami ozdobiono mur kościelny.

Gdy odbywał się pogrzeb, wzięto na indagacyę Stanisława Buraka, lat 22, który z powodu choroby nie wyruszył w świat po szczęście i przy którego chacie odbyło się pobojowisko. Udział jego ograniczył się do wyskoczenia na ulicę po strzałach w obawie o życie matki.

Burak został zaaresztowany i pod eskortą odstawiony do Rakowa, a następnie do więzienia w Mińsku. Ma on być niby „głównym agitatorem.“

Takie są — kończy korespondent *Kur. Lit.* — smutne dzieje iwienieckie, które można porównać z Zelwą i Krożami; jedna nić zasadnicza snuje się przez to zdarzenie.

Książki nadesłane do Redakcyi.

Bardzo pożyteczne i pożądane dziełko pod tytułem „*Praxis Confessarii*“ S. Alfonsa Lignori'ego, zostało przetłomaczone na język polski przez ks. Mikołaja Biernackiego i nosi tytuł: „*Przewodnik Spowiednika*“. Są w niem cenne wskazówki dla spowiedników.



Do czego pijaństwo doprowadzi.

Odstraszające przykłady.

Aleksander Wielki, król Macedonii, zabił w pijaństwie najlepszego przyjaciela swego Klitusa, który mu życie uratował. Gdy tenże przy biesiadzie na drobną rzecz uwagę mu zwrócił, Aleksander dobył miecza i przebił go na miejscu. Wprawdzie po spełnieniu tego czynu płakał i narzekał, ale łzy jego już Klitusa do życia nie przyprowadziły.

Ksiądz Leopold Kist opowiada, iż w jego parafii wydarzył się następujący wypadek: W zimie przywieźli dziecko do chrztu na sankach. Po chrzcie „kumotrowie“ i „kumoszki“ poszli do karczmy i tam sobie nieco podchmielili. Z powrotem do domu oddała kumoszka poduszeczkę niby z dzieckiem matce, która od kilku godzin z największą tęsknotą na to czekała. Biedna matka patrzy — a tu poduszka próżna. „Kumoszki“ pijane położyły dziecko na sanki i nie uważały na nie, a dziecko się wysunęło z poduszki, wyleciało z sanek i na drodze pozostało. Na szczęście śnieg był miękki i zimno nie wielkie, więc jeszcze dziecko znaleziono i do życia przywrócono.

W tejże samej parafii „kumoszki“ pewnego razu poszły z dzieckiem do karczmy, położyły je na ławie i zaczęły popijać na zdrowie chrześniaka. I gdy sobie nieco już podchmieliły, idą po dziecko, a tu o, zgrozo! niema dziecka, tylko kałuża krwi obok poduszeczki. W czasie bowiem, gdy one sobie popijały, przyszła świnia do karczmy, wyciągnęła dziecko i pożarła je całe na miejscu. Możecie sobie wyobrazić boleść matki, — a takich wypadków było więcej.

Pewien pijak siedział sobie w karczmie przy kieliszku wódki. Kiedy nadszedł jego mały synek, poruszył go i rzekł:

— Tatusiu, mama prosi, abyś przyszedł natychmiast do domu, bo bydło z chlewa uciekło i nie może sobie sama poradzić, ani bez twej pomocy powiązać i do chlewa wprowadzić!

— Idź do domu, ja zaraz przyjdę! — rzekł spokojnie ojciec i pozostał przy kieliszku.

Po chwili znów nadszedł ten sam chłopak, pociągnął ojca za surdut i rzekł:

— Chodź, tato, do domu, bo braciszek spadł ze stołu i w głowie sobie dziurę zrobił, krew mu tak ciecze, że ją mama zatrzymać nie może, braciszek pewnie umrze. Chodź, tato, do domu!

— Idź do domu — rzecze czuły ojczulek — a ja zaraz przyjdę.

Syn poszedł, a ojcu się ani śniło iść do domu. Wieczorem przychodzi ten sam chłopak do tej karczmy z płaczem wielkim i szarpie ojca za surdut i prosi:

— Tatusiu, chodźcie do domu, bo mama upadła i nogę sobie złamała; tatusiu, na miłość Boga, śpieszcie do domu, bo mama umrze! Tatusiu, zmiłujcie się i miejcie litość nad mamą!... już tak płacze, tak prosi, a niema nikogo, ktoby ją podniósł, ktoby jej pomógł, lub po doktora poszedł!

— Idź, dziecko, do domu — rzecze znowu czuły małżonek — i powiedz mamie, że ja już idę, że to nie jest tak źle, niech się nie boi, a ja zaraz przyjdę i lekarza przywołam.

Pijaczysko pozostał jeszcze na miejscu. Po godzinie wreszcie przylatuje ten sam chłopak i woła:

— Tato, tato, chodźcie zaraz do domu, bo obręcz u beczki z wódką pękła i wódka wycieka!

Skoro chłopak te słowa wymówił, zerwał się ów człowiek ze stołka, jakby go kto gorącą wodą oparzył i popędził do domu.

— Co? wódka ciecze? obręcz u beczki z wódką pękła? co ty mówisz? a dawno się to stało? a dużo już wódki wypłynęło?

Oto były jego pytania, które pędząc do domu, synowi zadawał. To wydało się mu największem nieszczęściem: niech tam sobie bydło z chlewa ucieka, choćby i nigdy nie wróciło, to go mało obchodzi; niech tam sobie dziecko ze stołu spada i nawet kark sobie skręci, to go bardzo mało zajmuje; niech sobie żona nogi łamie i chociażby się nawet i zabiła, to dla niego ma bardzo małe znaczenie;—a możeby się nawet i cieszył z tego, bo nie byłoby wtedy nikogo, któryby mu w jego nałogu przeszkadzał: ale gdy wódka jego ma mu się zniszczyć, to największe dla niego nieszczęście.

— No, i co wy na to, kochani czytelnicy, powiecie?

Myślimy, że tu żadne więcej komentarze nie potrzebne, że te fakta, a jest ich tylko kilka, które z tysięcy a tysięcy podobnych przy-

toczyliśmy, a których nikt nie może zaprzeczyć, wystarczą, ażeby wielu nakłonić do porzucenia tego nałogu i wzgardzenia wódką na zawsze.

W Austryi żyła przed niedawnym czasem wdowa, posiadająca wielkie i piękne gospodarstwo. Miała ona tylko jednego syna, to też, jak się zwykle dzieje, zbytnio go pieściła, zezwalając na wszystkie jego wybryki. Jasiowi, bo takie było imię chłopca, było wszystko wolno. Dokuczał on ludziom i zwierzętom. Na matkę wyszczerzał nieraz język, a nawet uderzył ją czasem, ale ona mówiła:

— To nic złego, gdyż synuś czyni to tylko z głupoty, a jak dorośnie, oduczy się tego. Młode piwko musi wyszumieć.

W 15-tym roku był syn na wskroś zepsutym chłopakiem. Pił wódkę, grywał w karty, a gdy mu matka nie chciała dać pieniędzy, otwierał przemocą zamki i zabierał. Otworzyły się nakoniec oczy zaślepionej kobiecie. Chciała karać syna, ale już było za późno.

Po kilku latach zachorowała. Wezwawszy syna do łoża, ze łzami w oczach doń przemówiła, aby się poprawił, co też chętnie przyrzekł, bo słowa nic nie kosztują. Miał iść potem do miasta, aby wezwać lekarza. Niegodziwiec, spotkawszy kilku towarzyszy, pił z nimi na zabój i grał w karty, aż w końcu rzekł:

— Moja stara długo nie pożyje, dla tego pójdę zamówić dla niej trumnę. Za trzy dni będzie jej pogrzeb, na który was zapraszam. Powiadam wam, że będzie hulanka, o jakiej nie macie wyobrażenia.

Matka czeka na syna, aż tu nazajutrz przywozi stolarz z miasta trumnę i powiada, że zrobił wyraźnie na zamówienie syna. Można sobie wystawić okropne położenie nieszczęśliwej niewiasty, która się dochowała takiej pociechy z Jasia, że jeszcze za życia matki kazał dla niej trumnę wykonać. Płakała i wyrzekała biedaczka, a syna jak nie widać, tak nie widać.

Strapiona kobieta rozesłała na wszystkie strony posłańców, aby szukali młokosa. Znaleźli go nakoniec, ale gdzie i jak? Oto utopionego w dole z śmierdzącą wodą. Pijany niegodziwiec zabłąkał się i wpadł głową naprzód w miałką wodę, a choć woda stała tam tylko pół łokcia wysoko, utracił życie, gdyż z powodu pijaństwa nie miał tyle siły, aby się z wody wydobyć.

Była to widoczna kara Boża za okropne wykroczenie przeciwko czwartemu przykazaniu. Bóg przyrzekł tym dzieciom, które szanują rodziców, długie życie i dobre powodzenie, ale też karze dotkliwie, a nieraz w bardzo krótkim czasie te złe dzieci, które naigrawają się z rodziców.

I stało się, że złożono zwłoki złego syna w tę samą trumnę, którą zamówił dla matki. Wkrótce przybyli uczestnicy jego rozpasanego życia, a gdy ich zapytano, po co przychodzą, odrzekli, że zostali zapro-

szeni na pogrzeb właścicielki gospodarstwa, zatem przychodzą, tem więcej, że tu ma być uczta pogrzebowa.

— Dobrze trafiliście, — odrzekł im starszy parobek — bo za chwilę wyruszy orszak pogrzebowy na cmentarz. A może chcecie się przypatrzeć zwłokom?

Po tych słowach zaprowadził ich do izby, gdzie im się przedstawił straszliwy widok. W trumnie leżały szczerniałe zwłoki ich kolegi, z którym niedawno pili i grali w karty. Jeden z nich w tej chwili zwaryował, a drudzy uciekali, jak gdyby ich sam dyabeł gonił.

Pochowano zwłoki niegodnego syna obok cmentarza, bez dźwięku dzwonów i bez ceremonii kościelnych, gdyż młody przestępca nie chodził wcale do kościoła i nie przystępował do Sakramentów świętych.

Nieszczęśliwa matka żyła jeszcze dwa lata po tym wypadku, wciąż się obwiniając, że tak źle chowała syna.

Niechże ten prawdziwy przykład zachęci rodziców, aby od lat dziecięcych chowali dzieci w karności.

Owo zdarzenie zaszło 1875 r., dnia 27 października, we wsi Ried, w arcyksięstwie Wyższej Austryi. A teraz inny przykład:

Przed kilku laty było na popołudniowem nabożeństwie w pewnym kościele katolickim w Londynie kazanie o pijaństwie. Po skończonem nabożeństwie zgłosił się pewien człowlek w łachmanach do kaznodziei. Ksiądz poznał atoli odrazu po nim, że dawniej lepiej mu się powodziło.

— Wielebny ksiądz prawił o pijaństwie, czemu się przysłuchiwałem — przemówił nędzarz. — Pozwól, księże, abym przed tobą serce me wylał, gdyż pęknie mi z żalu. Gdy zostałem pełnoletni, odziedziczyłem po zmarłych rodzicach 30,000 marek. Ponieważ wyuczyłem się kupiectwa, założyłem własny interes i ożeniłem się z panną poważanej rodziny. Była to bardzo piękna, a przytem dobra i pobożna kobieta. Bóg obdarzył nas dwoma synami i córką. Interes rozwijał się dobrze, a ja byłem najszczęśliwszym na świecie. Tak było przez kilka lat, gdy jednego dnia odwiedzili mnie znajomi, których dawno już nie widziałem. Wyszedłem z nimi, obaj byli pijacy. Poszliśmy do knajpy. Dawniej czułem wstręt do wódki, lecz wtenczas piłem i upiłem się pierwszy raz w życiu. Bez zmysłów przyniesiono mnie do domu. Na drugi dzień wieczorem, gdym wytrzeźwiał, przyszli owi znajomi po mnie. Wyszedłem znowu z nimi i upiłem się drugi raz! Już opanował mnie bies pijacki. Od tego dnia byłem codziennie pijany. Zaniedbałem interes, zrobiła się bieda i zbankrutowałem. Żona wskutek zmartwienia zachorowała śmiertelnie. Ja byłem podczas choroby jej pijany, pijany przy jej skonaniu, pijany w dzień pogrzebu. Utopiłem w gorzałce poczucie obowiązku, cnotę, wstyd przed ludźmi, słowem wszystko, co dobre, a zatrzymałem tylko złe żądze!

— Cóż stało się z waszemi dziećmi? — zapytał ksiądz.

— Moi synowie — jeden ma 24, a drugi 22 lata — są w domu karnym za rozbój.

— Co stało się z waszą córką?

— Córka ma obecnie ledwo 16 lat. Oddałem ją na pensyę, lecz ponieważ nie mogłem dalej za nią płacić, zabrałem ją do siebie. Czyste, niewinne dziecko, niewinne, jak anioł. Ona była całą moją pociechą, lecz ja byłem co dzień pijany.

— A cóż porabia córka wasza obecnie?

— Co? pytasz się, księże, o mą córkę? — Córka moja — zawołał okropnym głosem — o, dla mnie nie ma więcej litości! — i upadł na kolana z przeraźliwym jękiem, mówiąc: — Moja biedna córka! — nie miałem pieniędzy na wódkę, więc poszedłem i przeszachrowałem córkę za wysoką zapłatę do domu rozpusty. Wtrąciłem ukochaną żonę do grobu, wskazałem synom drogę do zbrodni, a niewinną mą córkę oddałem publicznej rozpuście!

Wstał i uciekł, wołając:

— Dla mnie niema przebaczenia!

Kapłan pobiegł za nim, lecz on znikł w ciemności.

O, ilu pijaków widzi się w tem opowiadaniu tak dokładnie, jak w lustrze! Ile nieszczęśliwych córek, ilu synów w domach karnych przeklina w tej chwili pamięć ojca, spoczywającego już w grobie.

Oto skutki pijaństwa!

(D. c. n.)



ŻONA CEZARA

powieść z pierwszych wieków chrześcijaństwa.

Gdy Celiusz wrócił, zastał starca z ożywieniem rozmawiającego z Aurelianem.

— Niech tylko mrok wieczorny ziemię okryje, opuścimy te miejsca — rzekł Celiusz — a teraz pozwólcie, że was przedstawię moim domownikom i tym, którzy pod moim dachem schronienie znaleźli.

— Jakże się cieszę, że Aregozyl i Etella uniknęli śmierci, że Opatrzność zachowała ich przy życiu... — mówił Aurelian — zwłaszcza Etella cudem jedynie uniknęła śmierci...

— I cudem, można to śmiało powiedzieć, odnalazł ją jej ojciec — rzekł Celiusz, prowadząc swych gości do sąsiednich komnat.

Dnia tego długo w noc nie gasły światła w pałacu Celiusza.

I już jutrzenka zgasła na wschodzie, ustępując miejsca złocistemu słońcu, gdy stary Petus zakończył narady temi słowy:

— Wyjdziemy za miasto podziemiami, które łączą dom przyjaciela mojego Sylwana z katakumbami... Dom ten znajduje się w pobliżu twego pałacu, Celiuszu!... Sylwan należy duszą i ciałem do tych, którzy pragną odrodzenia naszej ojczyzny i świata całego w duchu prawdy...

Jakoż zaczęto robić przygotowania do podróży, aby wieczorem dnia tego opuścić Rzym.

Irena, aczkolwiek osłabiona jeszcze, czuła się o tyle zdrową, że wsparta na ramieniu Etelli, która również odzyskała siły po niezwykłych przejściach na dworze Maksencyusza, przechadzała się zwolna wśród różanych klombów w ogrodzie okalającym willę Celiusza.

Obie siostry po długiem niewidzeniu się miały sobie wiele do opowiedzenia.

Jakże szczęśliwemi się czuły, że się widzą, że głos swój słyszą, że mają przy sobie ojca, który tyle przecierpiał.

Celiusz i Aregozyl, widząc je same w ogrodzie, wyszli do nich, oznajmiając, że wieczerza podana.

Etella i Irena zwróciły się do młodzieńców ze słowami podzięki za pamięć o nich, gdy naraz dały się słyszeć silne uderzenia młotkiem w bramę wchodową do pałacu, a jednocześnie chrzęst zbroi i brzęk mieczów doleciał z zewnątrz.

Celiusz zaniepokoił się, pobladł, rzucając niespokojne spojrzenie na Irenę.

— Gdzie ojciec? — ta wyrzekła z trwogą w głosie.

— Nietrzeba go niepokoić... Przekonajmy się, kto przybywa i czego chce... Może niema nic groźnego... — rzekł Aregozyl.

Co gdy on mówił, Celiusz zbliżył się do bramy i zapytał:

— Kto jesteście i czego żądacie?

Przy tych słowach spojrzał przez mały otwór w bramie i nagle umilkł, bo ujrzał spory oddział pretoryanów gorączkowo otaczających willę.

Na czele, przy dowódcy, stał skulony Dyabolus, wydający jakieś ciche rozkazy, a w dali, w głębi ulicy, błyszczała pozłocista lektyka, w której zdawało się Celiuszowi, że spostrzegł wychyloną na mgnienie oka głowę Maksencyusza.

— Jesteśmy zgubieni! — rzekł szeptem do Aregozyla.

— Co mówisz? — zawołał tenże, przykładając twarz do otworu i spoglądając na zewnątrz.

— Jesteśmy zgubieni! — powtórzył Celiusz.

W tej chwili Aregozyl odskoczył od bramy, jakby przez żmiję ukąszony.

—Maksencyusz!... — krzyknął, zaciskając zęby — Maksencyusz... to jego lektyka.. widziałem go...

Teraz już Celiusz nie wątpił, że i on widział twarz okrutnego tyrana.

Spostrzegły pomieszanie i trwogę młodzieńców Irena i Etella.

— Na Boga, co się stało? —zapytała Irena, gdyż wzruszenie tamowało jej mowę.

Celiusz milczał przez chwilę. Wydawał się na wpół przytomny.

Wtem nowe uderzenia w bramę sprawiły, że służba pałacowa zbiegła się do Celiusza.

— Odejdźcie!—rzekł rozpaczająco Celiusz—jesteście niepotrzebni!...

Ci usłuchali rozkazu, jeno stary Marek, który jeszcze ojca Celiusza w dzieciństwie piastował, nie usłuchał, zbliżył się do niego i biorąc go za rękę, rzekł:

— Jesteśmy zgubieni, jeśli zaraz nie opuścimy willi!

— Ale w jaki sposób? — zapytał z rozpaczą młodzieniec.

— Przez piwnice, które dom nasz łączą z domem Sylwana.

Teraz dopiero Celiusz oprzytomniał, teraz dopiero przypomniał sobie, że Sylwan nabył willę sąsiednią od jego ojca, że wtedy zamurowano podziemia, łączące obie wille.

— Rozbić ten mur, dostać się do domu Sylwana, a będziemy ocaleni.

W tej chwili przybiegł Aurelian i bystrym rzutem oka poznał, co się dzieje.

— Słuchaj mnie, Celiuszu! — zawołał głosem przywykłym do rozkazywania — natychmiast czyń to, co ci stary Marek radzi... Ja tymczasem powstrzymam tę sforę psów Maksencyuszowych i jego złotą lektykę.. Gdy ja rozmawiać z nimi będę, wy śpiesznie chrońcie się w podziemia.

Celiusz porwał się z miejsca, aby wykonać radę przyjaciela.

Istotnie nie było innego ratunku. Szpiedzy wydali ich w ręce wroga.

— Zostając tutaj, narażasz się na śmierć — rzekł Celiusz do Aureliana.

— Życie i śmierć człowieka w ręku Boga, ja zaś czynić winienem to, co mi serce i obowiązek nakazuje. Bóg ze mną, Celiuszu!... Pamiętaj, że jesteś ty i twoi przyjaciele w wielkiem niebezpieczeństwie... Szatan i tygrys w osobie Maksencyusza czyha na was!.. Uchodźcie!...

Jakoż nie było ani chwili do stracenia. Wkrótce Celiusz wraz z domownikami schronił się do podziemi, zaś Aurelian rozmową zręcznie obmyśloną wstrzymywał pretoryanów przed bramą willi.

— Na Jowisza! — wołał setnik — jeśli nie otworzycie natychmiast, każę wyważyć bramę!...

— Żądania tego nie mogę spełnić, gdyż sam jestem tutaj niejako więźniem — odrzekł Aurelian.

— A to jakiem prawem?

— Wskutek dziwnego zdarzenia... Zaledwie wszedłem tutaj przed godziną, szukając schronienia, gdy nagle domownicy opuścili willę, zamykając bramy domostwa i zostawiając mnie jakby w więzieniu.

— Więc mówisz, że willa pusta?... — pytał dalej setnik, który nie poznawał głosu Aureliana, byłego swego dowódcy.

— Pusta... Wszyscy z niej uciekli, zabrawszy klucze...

Nastała chwila milczenia.

Setnik zwrócił się po rozkazy do Dyabolusa, co widział dobrze przez otwór w bramie Aurelian, sam będąc przez żołnierzy niewidzianym.

Po chwili narady setnik zawołał:

— W takim razie musimy wyważyć bramę... Biada ci, jeśli kłamiesz!...

— Poczekajcie!... wstrzymajcie się! — zawołał Aurelian — może znajdę klucze... Wstrzymajcie się!...

Ale w tejże chwili usłyszał groźny rozkaz, który Dyabolus z wściekłością rzucił żołnierzom:

— Wyłamać bramę!... Człowieka, który do was gada, zabić!... To zdrajca!...

Aurelian nie usiłował dalej powstrzymywać żołnierzy, którzy rzucili się do spełnienia rozkazu Dyabolusa, lecz odwrócił się, aby samemu coprędzej ukryć się w podziemiu.

Zaledwie uszedł kilka kroków, przyszło mu na myśl, że chroniąc się, wskaże wrogom drogę, którą uszli jego przyjaciele i narazi tych ostatnich na zgubę.

Jednocześnie, odwróciwszy się na chwilę, ujrzał w otworze bramy głowę Dyabolusa, a na murze dwóch jego ludzi, którzy w ten sposób dostawali się do willi.

Na schronienie się w podziemiach było więc już za późno...

W ten sposób zdradziłby swych przyjaciół, na co nie pozwalała jego pełna prawości natura.

Owinął się więc w togę i stanąwszy w postawie męża, który czuje swą godność, gardząc niebezpieczeństwem, założył ręce na piersi i bezbronny czekał na swych wrogów.

Niebawem rozległ się trzask, brama zachwiała się, lecz nie puściła z zawias.

— Powinni już się schronić — pomyślał Aurelian — dość mieli czasu...

Brama po raz drugi zachwiała się, jedna z zawias puściła.

Za chwilę pretoryanie opanują willę.

W tejże chwili Aurelian posłyszał za sobą kroki człowieka szybko zbliżającego się od strony willi.

Odwrócił głowę i naraz okrzyk bolesny wyrwał się z ust jego:

— Celiusz?... nieszczęsny!... to szaleństwo!...

Tak, był to Celiusz z włosem rozwianym, z twarzą, na której widniały ślady rozpaczy.

— Jestem przy tobie, Aurelianie! — rzekł głosem słabym.

— Ach, cóżeś uczynił?...

— Dla ocalenia tamtych... dla ocalenia Ireny musiałem to zrobić... Trzeba powstrzymać.. oszukać wrogów... niech nie trafią na ślad uciekających...

Słowa jego w tejże chwili zagłuszył huk i trzask walącej się bramy, przez którą wpadli rozjuszeni niespodziewanym oporem pretoryanie.

Tuż-tuż jak kot skradał się Dyabolus.

Wzrok jego padł na stojących nieruchomo Aureliana i Celiusza.

— Na Plutona! — zawołał — toż są ci, których szukamy!... Nie tknąć ich mieczem... Tych żywych mieć musimy!... Hola! precz z mieczami!

Na rozkaz ten pretoryanie opuścili wzniesione miecze i zwartem kołem otoczyli Celiusza i Aureliana.

— Jesteście więźniami cezara! — krzyknął setnik.

— Oddajemy się w moc waszą! — rzekł Celiusz.

— Do więzienia z nimi! — krzyknął Dyabolus.

— Jakiem prawem? — zapytał Celiusz.

— Prawem świętem, które każe śmiercią odstępców Jowisza... każe zdrajców ojczyzny oddających cześć Ukrzyżowanemu... śmierć zdrajcom!...

— Nikczemny! — krzyknął z gniewem Aurelian — zamilcz!... Tobie-ż to, nędzny szpiegu, sądzić uczciwych ludzi?...

— Nie ja, cezar cię sądzi!..—zawarczał Dyabolus, widząc, że pretoryanie, poznawszy ulubionego wodza, zawahali się i stanęli, nie wiedząc co czynić.

W tejże chwili nadbiegła numidyjska straż Maksencyusza i jego złota lektyka zajaśniała przed willą.

— W imieniu cezara!—zawołał dowódca Numidyjczyków — obejmuję tę willę na rzecz państwa... Dziś tutaj gościć będzie boski Maksencyusz!...

Rozległ się chrzęst zbroi, zadźwięczały miecze, dziedziniec, ogród, kolumnady i ogrody dokoła willi zajmowali żołnierze, czyniąc skrzętne poszukiwania we wszystkich komnatach, we wszystkich zakątkach, we wszystkich kryjówkach.

Trwało to przeszło kwadrans, poczem zawołał Maksencyusz do siebie Dyabolusa.

— Znalazłeś je?... znalazłeś obie?... Jest Irena?... jest Etella?...

Dyabolus zgiął się, skurczył, zwinął się niemal jak wąż.

— Niema, o, boski!... ukryli je!...

— Kto? — zapytał z wściekłością młody tyran.

— Celiusz i Aurelian...

— Na tortury z nimi! — krzyknął z wściekłością Maksencyusz — na tortury z tymi wyznawcami krzyża!... Tam ich pytać będę!

Dyabolus jeszcze się niżej zgiął na dwoje przed pozłocistą lektyką.

— Tymczasem — rzekł — jeszcze uważniej przetrząsnę wszystko w willi.. Trzeba zajrzeć i do podziemi... Cierpliwości, o, boski!...

(D. c. n.)

Stefan Gębarski.

NIE ZABIJAJ!

O kąpielach.

Za dawnych czasów dbano u nas o czystość ciała i dbano najwięcej w tych czasach, kiedy w kraju panował największy dobrobyt, jak na przykład, za panowania Chrobrego i w epoce Zygmuntowskiej, z chwilą jednak, kiedy ojczyznę naszą zaczęły nawiedzać klęski i byt jej materyalny zaczął podupadać, wówczas i kąpielnictwo poszło w zaniedbanie.

Jakkolwiek w ostatnich latach, dzięki zabiegom Towarzystw hygienicznych, a także prasy, daje się zauważyć w społeczeństwie naszem pewien postęp w kierunku rozbudzania zamiłowania do czystości ciała, to jednakże przyznać musimy, że kąpielnictwo u nas obecnie znajduje się jeszcze w wielce opłakanym stanie. Najwymowniej świadczą o tem liczby, przytoczone w pracy statystycznej dra Bartkiewicza: [1] „Jeżeli pominąć — mówi dr. Bartkiewicz,—kąpiele, udzielane w szpitalach, lecznicach, statystykę łazienek domowych i kąpieli fabrycznych, to jedna kąpiel wannowa przypada na jednego mieszkańca Warszawy (licząc ludność 650 tysięcy) 1 raz na 2 i pół lat. Jedna łaźnia wypada przeszło na 10 miesięcy. Średnia przeciętna używania kąpieli, jeśli włączyć i kąpiele natryskowe, wypada raz na 8 miesięcy.“ Stąd wniosek, że liczba zakładów kąpielowych w Warszawie jest niewystarczającą dla potrzeb mieszkańców.

W nierównie gorszem świetle przedstawia się sprawa naszych kąpieli prowincyonalnych. Ludność prowincyonalna korzysta przeważnie z kąpieli rzecznej lub w stawach i, nawiasem mówiąc, bardzo chętnie

---

[1]) „Statystyka kąpieli publicznych“. Patrz czasopismo „Zdrowie“ z 1900 r.

garnie się do nich; natomiast z wanien, łaźni i natrysków bardzo mało korzysta. „Na całe królestwo — mówi Chełchowski—t. j. na 114 miast i 353 osad, dowiedziałem się zaledwie o 23 miastach, w których można wykąpać się za opłatą w kąpielach publicznych“. Bardzo wiele z pośród większych naszych miast, liczących po kilkanaście do 20 tysięcy mieszkańców, kąpieli publicznych wcale nie posiada. Ku wstydowi naszemu wyznać musimy, że Żydzi i Rosyanie daleko chętniej kąpią się, niż Polacy. Po wsiach łaźni i wanien niemal że nie spotykamy.

„Przykro jest zarzucić własnemu społeczeństwu, czytamy w pracy dra Chełchowskiego, tak ciężką wadę, jak niechlujstwo. Ale cóż robić? Zaczynają nas przecież już traktować, jako lud brudny, budzący odrazę i obawę wszelkich zaraz. Na granicy pruskiej chłopów naszych dezynfekują i skarżą się, że Niemcowi trudno wytrzymać między takimi brudasami. Kto wie, czy nie zbliża się czas, w którym ludy podzielą się na brudne i czyste i brudne będą musiały ustąpić czystym, albo zejść na niższe od nich stanowisko i jeszcze głębiej pogrążyć się w niechlujstwie.“

Stosunkowo najlepiej przedstawia się sprawa kąpielnictwa na kolejach i fabrykach, choć i tam widzimy jeszcze duże braki. Robotnicy wogóle bardzo chętnie uczęszczają do kąpieli i najchętniej cisną się do kąpieli natryskowych — pryszniców. Ten rodzaj kąpieli, ze względów praktycznych, a także i hygienicznych, uważamy za najodpowiedniejszy dla użytku publicznego. Na drugiem miejscu postawić należy kąpiele parowe — łaźnie, a na trzeciem wanny.

Urządzenie kąpieli, zwłaszcza kąpieli natryskowych, nie jest zbyt kosztowne. Koszt 3 sitek bez budynku technicy obliczają na 250 rubli. Urządzenie na większą ilość sitek, naprzykład, na sto kąpieli na godzinę z budynkiem, ogrzewaniem i wentylacyą wynosi przeszło 4 tysiące rubli. Koszt pojedyńczej kąpieli dla robotników wynosi $4\frac{1}{2}$ kop., wliczając już w to i przypadającą na każdego część odsetki od kapitału, jego umorzenia i wydatki na utrzymanie kąpieli.

Z powyższego widzimy, że stosunkowo niewielkim kosztem można sobie urządzić kąpiele natryskowe, z których korzystać może całe miasto lub wieś. O rozpowszechnienie więc tego rodzaju kąpieli po naszych wsiach i osadach, a szczególniej miejscowościach fabrycznych, chodziłoby przedewszystkiem.

(D. c. n.)

Dr. Stanisław Gębarski.



Nowiny polityczne.

Z Anglii. Tegoroczny przegląd floty angielskiej, którego dokona Edward VII w Spithead, zgromadzi przeszło 200 statków wszelkich typów od seniora floty „domowej", olbrzymiego pancernika „Dreadnought" aż do najmniejszych torpedowców i łodzi podwodnych. W tym samym czasie przybędzie do Spithead eskadra szwedzka i mnóstwo jachtów prywatnych, wskutek czego, z dekoracyjnego punktu widzenia, rewia tegoroczna będzie przedstawiała najwspanialsze widowisko, jakie kiedykolwiek nawet w Anglii widziano. Wszystkie statki wojenne będą miały pełną załogę, komendę nad tą olbrzymią flotą wykonywać będzie sześciu admirałów.

Manewry pod Poznaniem. Między 16 a 21 września mają się odbyć w okolicach Poznania wielkie manewry cesarskie, w których po raz pierwszy będą użyci cykliści, nietylko do służby wywiadowczej, lecz i do niespodziewanych ataków. W tym celu otrzymają oni karabiny maszynowe. Mają także być użyte w szerszych, niż dotychczas rozmiarach psy, tresowane do służby wojskowej. Wogóle wszelkie nowe wynalazki z dziedziny wojennej znajdą zastosowanie w manewrach poznańskich. Wypróbowane będą nowe rodzaje min, wieże ruchome z armatami rewolwerowemi, wilcze doły i płoty druciane. Pionierzy zbudują kilka mostów przez Wartę według nowych pomysłów konstrukcyjnych. W ostatnim dniu ćwiczeń odbędzie się szturm do fortecy pod osobistem kierownictwem cesarza.

Z Korei. Japończycy zmusili cesarza koreańskiego do zrzeczenia się tronu, na który wstąpił syn jego. Skąd wynikły zaburzenia krwawe w tej dalekiej krainie azyatyckiej.

Wypadki — czytamy w „Gazecie Polskiej“ — jakie rozgrywają się obecnie w Seulu, rozumiane są powszechnie, jako takie, w których ginie samodzielność Korei. Państwo, zajmujące przestrzeń przeszło dwustu tysięcy kilometrów kwadratowych, liczące około dwudziestu milionów ludności, bogato uposażone we wszystkie bogactwa naturalne, od tysięca lat blizko cieszące się zupełną niemal samodzielnością, państwo to ginie w oczach całego świata cywilizowanego. Całą „winą“ Korei jest, że znalazła się obok potężnego sąsiada. Walki Korei z Japonią datują się niemal od chwili, gdy z paru odrębnych państewek formomać się zaczęło państwo koreańskie. Przez siedemset blizko lat Korea walczy z powodzeniem z Japończykami, którzy niszczą ją ciągłemi napadami. Korea była przewodnikiem wpływów cywilizacyjnych wobec Japonii — dała jej buddyzm i klasyczne księgi chińskie. Z biegiem wieków jednakże szale powodzenia zaczynają się przychylać na stronę Japonii. Największą „winą“ Korei jest, że nie potrafiła ona wytworzyć silnej organizacyi państwowej, że urzędnicy jej żyli z wyzysku ludności, armia zaś była słaba, gdyż uwalnianie się od powinności wojskowej, w teoryi powszechnej dla niższych warstw ludności, było bardzo łatwem wobec rozpowszechnionego łapownictwa. Korea nie ocknęła się z zastoju w chwili, gdy jej najgroźniejszy sąsiad — Japonia weszła na nową drogę cywilizacyjnego życia; organizm państwowy Korei słabnął i rozkładał się w tymże czasie, gdy organizacya państwowa Japonii wzmocniła się i rozwinęła. Gdy Japonia posiadała już liczną, doskonale wyćwiczoną i we wszystkie najnowsze środki techniczne zaopatrzoną armię, Korea mogła się zdobyć zaledwie na kilka tysięcy lichej milicyi. Wschodnia pompa, jaką otaczał się cesarz kareański, nie mogła zasłonić faktu, że jego skarb był pusty, a państwo zdezorganizowane. Rosnąca w siły i ludność Japonia musiała szukać dla siebie ujścia. Korea leżała na jej drodze i musiała stać się łupem, gdyż była zbyt słabą, ażeby stawić opór skuteczny. Piratę japońskiego, który w ciągu wieków niszczył napadami swemi Koreę, zastąpił w czasach nowożytnych kupiec, następnie dyplomata japoński. Japończycy zaczęli wciskać się we wszystkie dziedziny życia społecznego Korei; jeszcze przed 15 laty liczono ich w Korei zaledwie kilkanaście tysięcy, dziś liczeni są na setki tysięcy, rugują krajowców ze wszystkich posad rządowych, z życia ekonomicznego i t. d. Koreańczycy widzieli zbliżającą się grozę podboju, burzyli się przeciwko przybyszom. Przed piętnastu laty poseł japoński, Chanabusa, musiał uciekać na statek angielski przed rozwścieklonym tłumem; jeszcze przed laty trzynastu ludność Seulu wypędziła Japończyków. Ale były to odruchy zbyt słabe. Japonia stoczyła o Koreę wojnę z Chinami, a gdy dyplomacya europejska wydarła jej owoce zwycięstwa, „państwo wschodzącego słońca“ zamknęło się na lat

kilka w milczeniu, ażeby następnie stoczyć stokroć trudniejszą wojnę z Rosyą. Dziś już żadna siła ludzka nie wyrwie Korei z rąk Japonii.

Wśród milczenia państw Europy, Azyi i Ameryki, wśród obłudnych żalów, jakie rozwodzi prasa, wroga Japonii, ginie niepodległość państwa koreańskiego.

Tragedya koreańska nasuwa pewne analogie z tragedyą naszą własną. Rola markiza Ito wobec cesarza koreańskiego przypomina żywo zachowanie się Repnina i Stackelberga wobec Stanisława Augusta. Analogie te i refleksye nie mogą jednakże zaciemniać nam znaczenia przewrotu politycznego, dokonanego obecnie przez Japończyków na Korei. Japonia likwiduje owoce wojny zwycięzkiej, umacnia się w Korei, która w niedługim już zapewne czasie stanie się poprostu prowincyą japońską.

Pruska ohyda. W Westfalii, w Holsterhausen żyje polski emigrant, p. Woźniak, który na grobie swojego dziecka postawił krzyż z polskim napisem. Policya, dowiedziawszy się o tem, przesłała panu Woźniakowi rozkaz piśmienny, aby natychmiast zniszczył napis polski, w przeciwnym bowiem razie krzyż będzie usunięty z cmentarza. Gdy zaś p. Woźniak wniósł przeciw niesłychanemu rozporządzeniu skargę do wydziału powiatowego, policya, nie czekając na odpowiedź wyższej instancyi, *wyrwała krzyż z polskim napisem z mogiły dziecka* i kazała go postawić przed drzwiami domu, w ktorym mieszka p. Woźniak. Donosi o tem szczczegółowo wychodzący w Bochumie *Wiarus polski*, a o autentyczności faktu wątpić nie podobna, choćby z tego powodu, że wobec grozy sądów pruskich, polujących na redaktorów polskich, jak na dzikie zwierzęta, pisma nasze stały się niezmiernie ostrożnemi i nie podają nic, czego stwierdzić dowodami nie mogą; zresztą sprawa stała się już głośna. Nazwiska i szczegóły podano bardzo dokładnie.

Dusza ludzka broni się przeciw uznaniu takiej ohydy za prawdę, a jednak wierzyć w nią musi. Policya pruska wyrywa krzyż polski z grobu dziecka i stawia go, jakby na urągowisko przed drzwiami ojca zrozpaczonego. Zaiste! Zachowajcie ten krzyż starannie! Jeżeli kiedyś powstanie muzeum niewoli polskiej, zajmie on tam honorowe miejsce w oddziale „pruskiej ohydy“.



Pożyteczne rady i wskazówki.

Ucz się oszczędności!

Nie każdy człowiek jest w stanie zaoszczędzić część z tego, co zarabia. Są ludzie znajdujący się w ciężkich warunkach bytu, obarczeni ciężkiemi obowiązkami dopomagania innym, bez szemrania niosący grosz swój potrzebującym najbliższym osobom. Są wreszcie ludzie, którzy ciężko muszą wszystko zdobywać, aby sobie los niezgorszy zapewnić. Ale w przeciwstawieniu do nich jest wielka liczba tych, którzy mają dobre dochody, którym szczęście się w życiu uśmiecha, pędzą jednak żywot pełen trosk dlatego jedynie, iż nie umieją oszczędzać i przewidywać.

Najważniejszą zasadą oszczędności jest umiejętność przy zarobieniu pięciu złotych wydać trzy lub cztery, a pozostałą część odłożyć bez uszczerbku dla zdrowia własnego i rodziny. Najważniejszą zasadą przewidywania jest przewidzieć przyszłe potrzeby i przygotować dla nich odpowiednie warunki. Niestety, pomiędzy ludźmi znajduje się z jednej strony więcej samolubów nieczułych, a z drugiej strony lekkomyślnych i rozrzutników, niż ludzi oszczędnych, przewidujących i umiarkowanych. Brudny samolub, sknera, będzie wyzyskiwał bliźnich, nie zapłaci rachunku, ażeby gromadzić fundusze, z których nie robi w obecnej chwili, a nawet najczęściej nie zrobi w przyszłości należytego użytku; rozrzutnik, lekkomyślny, mając pięć złotych dochodu, wyda je bez potrzeby całkowicie, lub wyda sześć złotych, aby prowadzić do ruiny siebie, rodzinę i tych, którzy go obdarzyli kredytem i zaufaniem bardzo często nie znając jego usposobienia. Człowiek lekkomyślny zużywa pieniądze, które posiada najczęściej nie na rzeczywiste potrzeby własnego życia lub potrzeby swoich najbliższych, lecz marnuje je, trwoni, aby się ludziom pokazać, jako coś wyższego. Wreszcie taki człowiek, marnujący dobra doczesne bez potrzeby, jest niczem więcej niż zwyczajnym, mizernym głupcem, jeżeli marnuje z zastanowieniem

się, z wiedzą, cudze — jest niegodziwym lub wprost oszustem. O ile każdy człowiek ma prawo do szczęścia, o tyle to prawo nie upoważnia go, aby inni, a zwłaszcza biedniejsi z jego powodu cierpieli. Dziki, nieokrzesany człowiek, chcąc zerwać owoc, aby głód zaspokoić, zetnie drzewo lub urwie owoc z gałęzią, ale człowiek uczciwy, mądry zdejmie ostrożnie owoc, aby on sam w przyszłości lub inny człowiek z tegoż drzewa korzystał.

Kto umie zbywający grosz, lub jaki przedmiot zaoszczędzić i odłożyć go, kto używa go z trzeźwym umysłem, ten, o ile nie potrzebuje zeń obecnie lub później korzystać, poświęci go na cele prawdziwie potrzebujących bliźnich. Brudni samolubi, jak również ludzie lekkomyślni, utracyusze, nie potrafią ocenić nigdy doniosłości życia, nigdy się nigdy się niczem nie zadowolnią, wszystkiego im mało będzie, nie potrafią żyć pożytecznie i ocierać łzy niedoli. Człowiek bezmyślny, utracyusz budzi wstręt niejednokrotnie. Jeżeli zabraknie mu środków, popełni on gwałt, bezprawie, wyzysk, aby tylko sobie i swym żądzom, przywyknieniom dogodzić, lub stoczy się w przepaść, z której wyjścia niema. Przysłowie angielskie mówi, iż przyszłość należy do narodów przewidujących i oszczędnych. Również bezmyślny samolub przed krzywdą się nie cofnie, aby tylko bez myśli skarby gromadzić. Człowiek oszczędny, przewidujący prawdziwie bez krzywdy innych będzie odkładał i pielęgnował to, czego dziś zużyć nie może, a co mu się może przydać na później, co mu pracę ułatwi, zapewni przyszłość jemu lub rodzinie. Przyjrzyjmy się życiu zwierząt. Zwierzęta żyjące na swobodzie, pozostawione same sobie, gromadzą zwykle w lecie, w sprzyjającej porze letniej, zapasy żywności, aby w przyszłości się niemi wspólnie wyżywić. Pszczoły gromadzą miód, wiewiórki orzechy, ptaki nasiona itp. Z oszczędności i przewidywania ludzi obdarzonych wyższym umysłem, związanych wspólnym interesem, powstają instytucye pomocy, zasoby społeczne, bogactwo narodowe. Ażeby tamę położyć niedostatkom ogólnym, biedzie, należy rozwijać stowarzyszenia współdzielcze, kasy wspólne, ubezpieczenia oszczędnościowe, prowadzone przez ludzi uczciwych, należy krzewić poszanowanie wszelkiego dobra, oszczędności, skrzętności i przewidywania od lat najmłodszych, ubezpieczać ludzi pracy, zwalczać fałszywą pychę, nienasyconą ambicyę, żądzę marnotrawstwa i lekkomyślności.

Należy, aby każdy zawsze odczuwał prawdziwe potrzeby innych, oszczędzał i przewidywał bez szkody dla siebie i innych, sam dla siebie, a nadmiar zasobów składał na ołtarzu wspólnym użyteczności publicznej.

Józef Strzała.

Odpowiedzi od Redakcyi.

Szanownemu ks. M. Sik. w Ciach. Prenumerata opłacona do końca r. b. Notowana cyfra „3" oznacza ilość wysyłanych egzemplarzy na daną pocztę.

Szanownemu ks. L. Bobr. w Trusk. Przekazaną kwotę otrzymaliśmy, rachunki księgarni wszystkie opłacone.

OFIARY:

Na klasztor Jasnogórski.

K. L. Bł.	rb. 25 kop.	—
Em. Chrzan. Buki	rb. 3 kop.	—

Na kościół w Narwi.

K. L. Bł.	rb. 25 kop.	—
Zebrane przez Teofilę Stempel i Rachalskiego .	rb. 2 kop.	25

Na kościół Ś-tej Rodziny w Częstochowie.

K. L. Bł.	rb. 25 kop.	—

Na kościół w Miorach.

K. L. Bł.	rb. 25 kop.	—

Redaktor i Właściciel **ks. JÓZEF ADAMCZYK.**

Druk Tow. Akc. S. Orgelbranda Synów.

ROK VII. LISTOPAD — 1907 ROK. TOM VI (LXXII).





DZWONEK Częstochowski

PISMO MIESIĘCZNE

ILLUSTROWANE

POD REDAKCJĄ

KSIĘDZA JÓZEFA ADAMCZYKA

Adres Redakcyi: Częstochowa, pod Jasną-Górą.—Filja w Warszawie: Ulica Krucza Nr. 40 mieszk. 17.

1907.

STOWARZYSZENIE „ZORZA“

malarzy, rzeźbiarzy, pozłotników i haftarzy

pracujących w zakresie sztuki kościelnej

w CZĘSTOCHOWIE

poleca najtaniej, bo z pierwszej ręki, we własnym składzie pod Jasną Górą, przy Administracyi „Dzwonka Częstochowskiego“.



obrazy
feretrony
figury {**Pana Jezusa** / **Matki Boskiej** / **Ś-tych Pańskich**}
sztandary
chorągwie
dzwonki harmonijne
witraże
ornaty
kapy
wszelkie wyroby kościelne



posiada jedyny w Częstochowie obfity wybór **artystycznych obrazów Matki Boskiej Częstochowskiej, ręcznie wykonanych przez artystów Akademii Krakowskiej,** w różnych wielkościach i na różne ceny,

podejmuje się wykonania wszelkich robót, dotyczących

odnawiania i upiększania kościołów

artystycznie, dokładnie i tanio,

przyjmuje zamówienia na **odlewy nowych dzwonów i przelewy starych, oraz posadzkę cementową i terrakotową** po najniższych cenach.

Wszelkie zlecenia Czcigodnego Duchowieństwa i ogółu katolickiego wypełnia się szybko, dokładnie i tanio.

Adres dla listów: ***Stowarzyszenie „ZORZA“ w Częstochowie***, skrzynka pocztowa № 84.



„DZWONEK CZĘSTOCHOWSKI"

PISMO MIESIĘCZNE ILLUSTROWANE

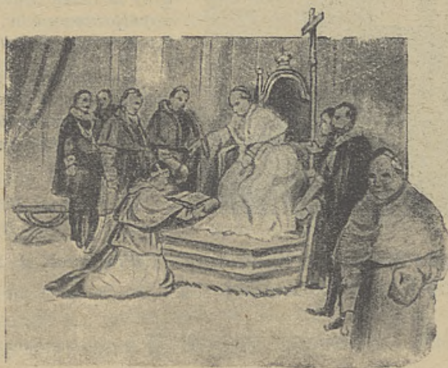
(12 dużych tomów rocznie).

Pod redakcyą księdza JÓZEFA ADAMCZYKA.

Do czcigodnych i szanownych przyjaciół i prenumeratorów „Dzwonka Częstochowskiego".

Wśród nieszczęść, które jak gromy w naród nasz uderzają, gdy płyną łzy bólu, leje się krew braterska, gdy syn staje przeciwko ojcu, podwładny przeciw panu, zbrodnia chce uchodzić za cnotę; oczy wiernych czcicieli Maryi z utęsknieniem zwracają się ku miejscu przez wieki umiłowanemu, przez wieki uświęconemu, ku Częstochowie, ku Jasnej-Górze. gdzie tron ziemski obrała sobie Matka Boska, królowa nieba i ziemi.

Jak ongi ojców naszych natchnione źrenice i ofiarne serca tutaj czerpały moc świętą i siłę, tak i dziś stąd. z Jasnej-Góry, spływa na nas błogosławieństwo Maryi, na całą Polskę rozpala się światłość święta wiary, nadziei i miłości. Więc jakże nie kochać mamy Matki Boskiej Częstochowskiej, jak nie czcić Tej, przed którą w pokorze schylali w proch głowy swe ukoronowane niezapomnieni królowie nasi, gdzie klęczeli Jagiełłowie, . Wazowie, Sobiescy i inni bohaterowie, czciciele i obrońcy Maryi!



Ojciec Święty Leon XIII błogosławi wydawnictwo *„Dzwonka Częstochowskiego"*. Również błogosławieństwa *„Dzwonkowi Częstochowskiemu"* udzielił i Ojciec Święty Pius X.

Kochajmy Matkę Boską Częstochowską, jak Ją ukochali święci Pańscy, jak ją umiłowali mężowie natchnieni duchem Bożym, Apostołowie, monarchowie, wodzowie ludu,—jak Ją ukochali wszyscy ci, którzy doznali cudu u stóp Jej tronu ziemskiego, przed Jej świętym Obrazem na Jasnej-Górze w Częstochowie. Kochajmy Maryę, głośmy Jej cześć i chwałę, bądźmy Jej czcicielami, abyśmy osiągnęli najwyższe dobro każdego człowieka: szczęście i pokój na ziemi — zbawienie wieczne w niebiosach.

To wezwanie, tę prożbę zanosi „Dzwonek Częstochowski" do wszystkich chrześcian-katolików, pragnąc ich dobra, ich zbawienia.

Wielcy i maluczcy tego świata mile słuchają głosu „Dzwonka Częstochowskiego". Pobłogosławili pismo nasze Papieże z wyżyn stolicy Świętego Piotra, biskupi nasi, zgromadzenia świętobliwe, oraz z nizkich chat wiejskich wierni czciciele Maryi.

Oto między innemi, wielce łaskawy dla nas list Jego Ekscelencyi księdza Stanisława Zdzitowieckiego, biskupa Kujawsko-Kaliskiego, z którego dyecezyi „Dzwonek Częstochowski" w świat wychodzi.



Jego Ekscelencya Ksiądz Stanisław Kazimierz Zdzitowiecki biskup Kujawsko-Kaliski.

Szanowny Księże Redaktorze!

Każdemu wiadomo, jak wielką jest potrzeba pism peryodycznych, któreby dawały duchową i społeczną strawę. Zasady bowiem i poglądy w pismach zawarte, powoli wsiąkają w umysły i urabiają serca czytelników. To też uznanie Ci się należy, Szanowny Księże Redaktorze, za zbożną Twą pracę w „Dzwonku Częstochowskim", za rozsiewanie zdrowego ziarna na roli rodzin chrześcijańskich, dla których za wzór i obronę podajesz Najświętszą Bogarodzicę Maryę. Że praca Twa była potrzebna, świadczy poczytność „Dzwonka Częstochowskiego".

Kształć więc umysły i urabiaj serca, ufny w łaskę Bożą, opiekę Maryi i pomoc współpracowników, których wyszukiwać z pewnością nie potrzebujesz.

Zapewniając o swej dla „Dzwonka Częstochowskiego" życzliwości, zasyłam pasterskie błogosławieństwo Tobie, Szanowny Księże Redaktorze, Współpracownikom i Czytelnikom.

(padpisano) Ks. Stanisław Zdzitowiecki
Biskup Kujawsko-Kaliski,

Włocławek, d. 2 Lutego 1903 r.

Od lat siedmiu za pomocą duchownego słowa, nawołuje „Dzwonek Częstochowski" do miłości Boga i bliźniego, do ukochania ojczystego zagonu i ojczystej przeszłości, do pracy w duchu prawdy i sprawiedliwości.

Kto więc ukochał głos „Dzwonka Częstochowskiego", kto stara się o rozpowszechnienie tego pisma, o jednanie mu jak najszerszych kół czytelniczych, ten pomnaża chwałę i cześć Jasnej-Góry, ten szerzy światło wśród ciemności, staje się prawdziwym czcicielem Maryi, ten tępi zbrodnię i występek, krzewi cnotę i światło prawdziwej wiedzy.

„Dzwonku Częstochowski", dzwoń,
Swięte echa roznoś w dal
Z szumem wiatru, z szumem fal,
Ode złego broń nas, broń!

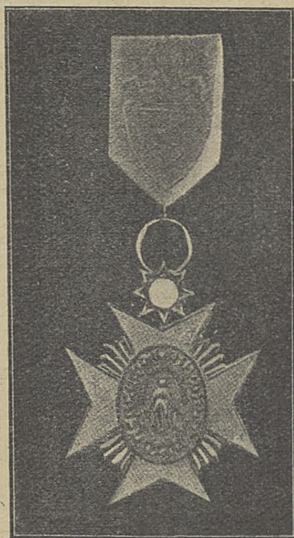
„Dzwonku Częstochwski" dzwoń,
O Maryi cudach głoś,
O Jej łaski dla nas proś,
Cnót Jej wdzięczną roznoś woń!

Ulepszać i udoskonalać „Dzwonek Częstochowski", to najgorętsze pragnienie nasze, a zwłaszcza w roku 1908, kiedy rozszerzenie koncesyi i pozyskanie nowych zastępów piszących, ułatwi nam to i zapewni pismu poczytność coraz większą, zjedna coraz większe koło przyjaciół-czytelników, a przez to da możność materyalną do jeszcze większych ulepszeń i udoskonaleń.

Obok prac treści religijnej i historycznej, ożywimy dział wiadomości z dziedziny polityki, nauk społecznych i przyrodniczych, z dziedziny handlu i przemysłu, hygieny i innych pożytecznych rad i wskazówek, bądź z dziedziny gospodarstwa rolnego i domowego bądź pedagogiki, a także z dziedziny pożytecznych odkryć i wynalazków, podróży po ziemiach ojczystych i obcych. Wszystkie te prace starać się będziemy podać w formie jasnej, zrozumiałej dla wszystkich, językiem pięknym, wolnym od naleciałości cudzoziemskich.

Premium „Dzwonka Częstochowskiego" na rok 1908 stanowić będzie piękny obraz kolorowy przedstawiający ***„Ołtarz z cudownym wizerunkiem Pana naszego Jezusa Chrystusa w kaplicy na Jasnej-Górze w Częstochowie"***.

Premium to kosztowne w wykonaniu, ofiarujemy w myśl życzeniu tysięcy czytelników „Dzwonka Częstochowskiego", którzy serdecznie pragną cudownym wizerunkiem Zbawiciela uświęcić ściany swego domostwa.



Medal złoty, którym nagrodzono „Dzwonek Częstochowski" na kongresie katolickim w Fryburgu.

Druk zajmujących powieści z dziedziny historyi **„Żona Cezara"** i **„Historya Wojen Krzyżowych"** z illustracyami G. Dorego w dalszym ciągu na kartach „Dzwonka Częstochowskiego" prowadzić będziemy, jednocześnie rozpoczynając powieść historyczną autora **„Nawrócony"**, poświęconą zawsze drogim dla nas wspomnieniom naszego odrodzenia narodowego przed stu laty. Zajmująca ta powieść opiewać będzie orle wzloty niezapomnianego wodza-bohatera narodu polskiego Tadeusza Kościuszki.

W dalszym ciągu drukować będziemy cenne prace:

1) **Żywot illustrowany Pana naszego Jezusa Chrystusa**, (najobszerniejszy ze wszystkich znanych w języku polskim).

2) **Historyę illustrowaną Kościoła Rzymsko-Katolickiego w obrazach i życiorysach.**

3) **Obrazy z historyi klasztoru Jasnogórskiego**, (z illustracyami).

4) **Drogą Świętych Męczenników wśród pogan**, (z illustracyami).

5) **Na ziemi i na gwiazdach**, (z illustracyami).

6) **Światła wiary i nauki**, (z illustracyami).

Nadto drukować będziemy piękną pracę **„Dawne nasze świątynie i klasztory”**, ozdobioną licznemi illustracyami.

Dla tych z prenumeratorów naszych którzy z góry opłacą prenumeratę na cały rok 1908, co nam w znacznej mierze ułatwi ulepszenie „Dzwonka Częstochowskiego” ofiarujemy w kwartale pierwszym zajmującą powieść: p. t. **„W szponach pruskiej hakaty“**, osnutą na tle ostatnich wydarzeń w Księstwie Poznańskim.

Nadto prowadzić będziemy wszystkie prace dotychczas drukowane w „Dzwonku Częstochowskim“, a mianowicie:

1) Artykuły treści teologicznej. 2) Powieści religijne. 3) Modlitwy prozą i wierszem. 4) Żywoty Świętych Pańskich, Ojców Kościoła, wielkich Papieży. 5) Obrazy z historyi Kościoła Rzymsko-Katolickiego. 6) Wiadomości różne tak z dziedziny życia społecznego, politycznego jak naukowego, z obszernem uwzględnieniem spraw kościelno-religijnych i tyczących się Częstochowy. 7) Ogłoszenia. 8) Illustracye.

Rzym d. 5 Grudnia 1904 r.



Do Szanownej Redakcyi
„Dzwonka Częstochowskiego“

Kongres wszechświatowy ku czci Niepokalanej Matki Bożej w Rzymie odbył się z niesłychaną okazałością. Brało w nim udział kilkunastu Kardynałów, parę set biskupów, i niezliczona ilość uczonych z całego świata. Mowy były prawie we wszystkich językach wygłaszane ku czci Matki Bożej. O Dzwonku Częstochowskim przemawiał Kanonik Łotry w kościele Matki Boskiej Śnieżnej. Ksiądz Głowieński w sekcyi prassy, zasypywany przez Księży z Polski i czcicieli Maryi tysiącami oklasków. Jego Excellencya Książe Arcybiskup Symon i inni bawiący tu biskupi polscy z wielkiem uznaniem wyrażali się o Dzwonku jako wydawnictwie poświęconem czci Maryi Najświętszej w naszym kraju.

Uczestnik Kongresu w Rzymie Ksiądz Kazimierz Grabowski.

Prenumerata „DZWONKA CZĘSTOCHOWSKIEGO“ wynosi: w Częstochowie rocznie rub. 3, półrocznie rub. 1.50, kwartalnie kop. 75. Z przesyłką pocztową rub. 4, półrocznie rub. 2, kwartalnie rub. 1. W Austryi rocznie koron 10, półrocznie koron 5.—W Niemczech: rocznie marek 9, półrocznie marek 5. Cena ogłoszeń: Na całej stronicy rub. 12, na połowie stronicy rub. 8, na czwartej części stronicy rub. 5 i za wiersz 75 kop.

Prenumeratorzy miejscowi za odnoszenie pisma do domu dopłacają 10 kop. kwartalnie.

Listy należy adresować:

Redakcyą „Dzwonka Częstochowskiego“ pod Jasną-Górą w Częstochowie, albo w Warszawie ulica Krucza 40.

Redaktor i Wydawca: **Ksiądz Józef Adamczyk**.

Druk J. Sikorskiego, Warecka 14.